

PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

№ 14. Warszawa, dnia 25 Marca (6 Kwietnia) 1876 roku. **Rok 12.**

CENA PRENUMERATY

Warszaw. z odn. do domu	na prow. w Cesar. i Królest.
rocznie . . . . . rs. 6 k. „	rocznie . . . . rs. 8 k. —
półrocznie . . . „ 3 „ „	półrocznie . . . . rs. 4 k. —
kwartalnie. . . „ 1 „ 50	kwartalnie . . . . rs. 2 k. —
miesięcznie. . . „ „ 50	w Krakowie rocznie z stemplem dzienn. Złr. 10. w Galicyi Złr. 11 cent. 50. w Prusach roczn. 24 marek.

OPIEKUN DOMOWY
wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYA, SKŁAD GŁÓWNY I EKSPEDYCYA
PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. **72** NOWY.

Skład Główny w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr. 12, w *Krakowie* w księgarni Gebethnera i Spółki *w Wilnie* u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.

NIE ZŁUDZENIE.

Życie — to walka z szyderczym uśmiechem
Oszańcowanym błyskotkami świata,
To liść na drzewie, którym wiatr pomiata,
To wąż, to anioł z wiosennym oddechem.
A wszystko razem — to muzyka brzmiąca
Tysiącem tonów, gdzie harmonia dźwięku
Tak długo darzy, aż się w tych strun jęku
Dosłyszysz kłamstwa.... Wtedy to krew wrząca
Stygnąć zaczyna. Człek się w starca zmienia,
A osłonięty w pancerz cierpliwości,
Zdąża powoli ku drogom wieczności,
I gardzi kłamstwem i szydzi z cierpienia.

E.

BENEDYKT DOŁĘGA.

Głośnem było w piątym dziesiątku bieżącego stulecia imię Benedykta Dołęgi. Głośnem było w kraju całym a Kijów je czcią otaczał, Wilno uwielbieniem, Petersburg spory z nim prowadził o idee, o przekonania, Warszawa nie skąpiła mu uznania. *Gwiazda* kijowska, łącząc w sobie blaski serc i umysłów ludzi przodujących w bujnej Ukrainie, jasno świeciła na horyzoncie — zacna i prawa; rozniecił tu ją zaś ten, który kiedyś odrzekł był paniczykowi próżniactwa:

— „Wolę, panie, być *Dołęgą* niźli *niedołęgą*“...

Syn niezamożnych rodziców, Jakób Jurkiewicz, znany w piśmiennictwie pod pseudonimem Benedykta Dołęgi, urodził się w okolicach Humania w r. 1808 i tamże u księży Bazylianów humańskich odebrał ukształcenie, będąc kolegą Bohdana, Seweryna, Aleksandra Grozy, gwiazd poezyi naszej; następnie w r. 1828 przybył do Kijowa, gdzie po niejakim czasie otrzymał urząd tłómacza dokumentów szlacheckich, który piastował do roku 1866, w Kijowie zaś pozostał do końca życia.

Spełniając sumiennie przyjęte na się obowiązki, wolne chwile poświęcał ulubionej grze na gitarze i skrzypcach, przyjmował czynny udział w dawniejszych miejscowych koncertach, ostatnimi zaś czasy skomponował kilka piosenek, kilka dość ładnych polonezów, marszów i mazurów, które nazwał *literackiemi*.

Pełen najzacniejszych przekonań, obdarzony niepospolitym, prawdziwym staropolskim humorem, i niepoślednią werwą pióra, powoli począł Dołęga próbować swego talentu w piśmiennictwie, prozą i wierszem. Początkowe jego prace, artykuły literackie, umieszczane przy schyłku czwartego dziesiątka bieżącego wieku w gazetach ówczesnych, jak naprzykład w *Tygodniku Petersburskim*, redagowanym przez Przecławskiego, umiały żywo zainteresować czytelników, piękne zaś tłómaczenia poetów rossyjskich Puszkina i Benedyktowa, szczególnie pierwszego, którego przekład „*Eugeniusza Oniegina*“ umieścił w *Noworoczniku Petersburskim*, a „*Mozarta i Salieri*“ w *Niezabudce*, redagowanej przez Barszczewskiego, zjednały mu uznanie i oklask ogólny. Odtąd często „pisywał sobie,“ jak się zwykł był wyrażać, wszystkie zaś większe i mniejsze prace jego rozrzucone są w peryodycznem i gazeciarskiem piśmiennictwie naszem [1]). Ostatnią większą drukowaną ramotą jego był ów z niepospolitym talentem skreślony *Obrazek genialnego oficyalisty*, w kijowskiem „*Co Bóg dał*,“ przedrukowany w jednem z pism czy kalendarzy warszawskich, gdzie w sposób pełen humoru i dowcipu naszkicował typową postać pana Karszy... oficyalisty znanego pisarza Nowosielskiego; przedstawiając zaś żywo ubiegłą epokę w literaturze naszej, wszystko to umiał pogodzić z tak piękną myślą zakończenia, myślą o bajkach... w obec idei szarpiących ludzkość dzisiejszą.

Najświetniejszą atoli epoką działalności literackiej czcigodnego Dołęgi, był piąty dziesiątek bieżącego stulecia.

W owym to czasie, gdy Żytomierz zaczynał już świetnieć życiem muzykalnem i poetycznem, gdy coraz jaśniejszą się stawała gwiazda Kraszewskiego, gdy życie w Wilnie biło jeszcze zdrowym pulsem, w Kijowie węzły przyjazne złączyły trzech ludzi: Zenona Fisza (Tadeusza Padalicę), Antoniego Marcinkowskiego (Gryfa, *vulgo* Nowosielskiego) i Jakóba Jurkiewicza (Benedykta Dołęgę). Myśl piękna i uczucia prawe były w zaprzyjaźnionych; ich zaś wynikiem zabłysła, na korzyść jednego spalonego kościoła, *Gwiazda* kijowska,

---

[1]) *Opiekun Domowy* oprócz paru wierszyków umieścił przed trzema laty artykuł B. Dołęgi, p. t. *Mickiewicz w kole literatów i poetów rossyjskich.*

pismo zbiorowe, mieszczące w sobie prace wymienionego tryumwiratu, nadto prace Kraszewskiego, Grozy, Konopackiego, Łady-Zabłockiego, Zofii z Brzozówki i wielu innych. Pierwszy jej tom wyszedł w Petersburgu pod redakcyą Zenona Fisza w r. 1846. Wydawca kijowski trzech ostatnich tomów, Benedykt Dołęga wywołał wkrótce zacięty spór z *Tygodnikiem Petersburskim*, ale chociaż szlachetnie pokonać umiał przeciwnika, to wydawnictwo *Gwiazdy*, już po wyjściu w roku 1849 czwartej książki.

Więcej pisywał Dołęga do *Ondyny druskienickich źródeł*, *Rocznika Litewskiego*, który redagował Podbereski, *Gazety Codziennej*, *Dziennika Warszawskiego* i innych pism.

Zacny w stosunkach rodzinnych, poetyczny, duchowo-rozmarzony w miłości uczuciach, w 47 roku swojego życia poślubił Jakób Jurkiewicz siostrę trzech pisarzy, Romualda, Ludwika i Andrzeja Podbereskich, pannę Różę Podbereską; a przysięgę, którą wykonali przed ołtarzem, do ostatniej chwili życia zgasłego, święcie dochowali sobie.

Złożony kilkoletnią chorobą reumatyzmu na łożu boleści, nigdy zmarły nie uskarżał się, nie sarkał... przeciwnie, chociaż życie pędził zupełnie odosobnione, samotne, był zawsze pełen wesołego humoru, z dowcipem świeżym na ustach, spędzając trudne godziny na czytaniu, pisaniu... Wyjątkowy był to charakter.

W dniu 27 grudnia 1875 roku, przytomny do ostatniej chwili, na ręku ukochanej żony zgasł cicho pisarz i pracownik.

Za trumną, w której leżał zmarły, szła żona jego, stary znajomy pan G... i kilku nieznajomych czy obojętnych, oto i cały orszak pogrzebowy biednego pisarza, do którego śmierci przyczyniła się wiele natarczywość wierzyciela L... przelana na pana G... z Berdyczowa... Dług był dwutysięczny, ale ta niewielka kwota pieniężna mogła pozbawić Dołęgę jedynego majątku: małego domku w Kijowie...

Obecnie po zgaśnięciu dawniejszem nieco Aleksandra Weryhy-Darowskiego i świeżem, Benedykta Dołęgi, dwaj już tylko znani autorowie polscy zamieszkują Kijów: Antoni Marcinkowski i Julian Kotkowski.

Przybywszy w tygodni parę po wyżej opisanym wypadku do Kijowa, i nie zastawszy już w nim starego Dołęgi, doznałem prawdziwego bólu, serce mi się ścisnęło, zakrwawiło...

Ścisnęło się, zakrwawiło tembardziej, gdym się dowiedział o ostatniej jego woli, wykazującej tyle jego dla mnie przyjaźni, tyle, że tak rzekę, ojcowskiej niemal miłości, zaufania. Przekazał mi on całą po sobie spuściznę *literacką*, papiery, korespondencye, prace swoje i cudze niedrukowane dotąd...

W papierach tych jest wiele rzeczy, prawdziwie interesujących naszą publiczność, rzeczy służących jako wyborny materyał do dziejów piśmiennictwa naszego. Bogate zbiory listów Kraszewskiego, Fisza, Gryfa, Aleksandra Przezdzieckiego, Henryka Rzewuskiego, Syrokomli (Wład. Kondratowicza), Pługa Adama, Zofii z Brzozówki, Kaczkowskiego, Konopackiego, Grozy, Wilkońskiej, Zabłockiego, Podbereskich i inne, o treści zaś ich nie potrzebujemy tu się rozwodzić, gdy wymienione imiona dostatecznie znaczenie ich określają. Są tu jeszcze przygotowane już do druku *dzieła* sławnego kaznodziei w Wilnie Trynkowskiego; są znakomite rękopismy Padalicy i kilku innych, prócz pozostałych rękopismów nieposledniej wartości samego Dołęgi.

Zwracają tu jeszcze uwagę niewielkie olejne malowidła pędzla wileńskiej wielbicielki redaktora *Gwiazdy*, panny Róży Parczewskiej; są to: portrety Jana i Andrzeja Śniadeckich, portret znakomitego mówcy Trynkowskiego, Stworzenie świata, i portret samej artystki.

F. M. Eysymont.

W WYPRÓCHNIAŁYM DĘBIE.

OPOWIADANIE

przez

Witosława Halka

przełożył z czeskiego

ALEKSANDER PETRÓW.

(dalszy ciąg).

V.

Dwie godziny przed zaczęciem przedstawienia krążył już koło teatru, aby mógł sam nikogo nie pytając się, powziąć jaką pewność. Skoro otworzyli kasę, oblężono ją ze wszech stron i Jaś, dostawszy bilet, zdawał się do królestwa niebieskiego wstępować. Zaiste, kto wie, czy do królestwa niebieskiego; może ten bilet wiódł gdzieindziej. Byłby go za żadne skarby świata nie odstąpił, a gdy się nań patrzał, trzymając w ręku, myślał, że patrzy na własny żywot.

Siedział w teatrze jeszcze długo przed zaczęciem opery. Widział, jak rozświetlały się płomienie, widział, jak schodzi się publiczność, widział, jak rośnie orkiestra, i widział, jak na scenie przebiegają nóżki. Może to są jej nóżki?

Wszystko jakby toczyło się w koło niego, a on jakby nie był na świecie. W koło niego huczało tysiące głosów, jakby wiatr łamał lasy, drzewo jakby było lichą gałązką. Słowa wymówione do koła niego spływały w jeden szum, nic nie rozumiał i był jako cząstka tego szumu.

Orkiestra zaczęła grać i zasłona podniosła się. Scena przedstawiała las. Oto wystąpiła ta na którą wszyscy oczekiwali, i gdy wystąpiła, posypały się gradem bukiety i wieńce ku jej stopom. Przy tym deszczu i przy tej burzy nic nie było można rozpoznać, lecz Jaś rozpoznał. Burza ucichła i zaczął się śpiew. Ona śpiewała.

Była to Kasia, w każdym ruchu, w każdym dźwięku. Przecie znał jej każdy ruch, znał jej każdy dźwięk. I gdy śpiewała, miał Jaś gardło jak ściągnięte, i jakby w nim serce nie biło. Jakoby nie żył. Jakby nie mogło być prawdą, co jednak prawdą było; jakby wszystko, co do koła się działo, było bajką i on sam bajką w tej bajce. Czyżby to była tylko bajka?

Pierwszem uczuciem, gdy Kasię zobaczył, usłyszał i poznał, była radość, niczem nie zakłócona. Radość, że ją widzi tak piękną, że ją słyszy tak przejmująco silną, że była dla niego jakby wyższą istotą. I zdawało mu się, że dostał skrzydeł i wzbijał się ku gwiazdom. Była to Kasia, ale taka, jakoby przyszła z nieba. Była to inna Kasia niż tamta, którą znał, lecz wyrosła z tamtej.

Uśmiechał się i łzy mu stały w oczach. Tak blizko niej jest. Tak daleko była od niego. Od drzewa wypróchniałego aż dotąd, była droga trzy lata długa a on ją przebył. Przez całe światy, przez wieczność musiał iść, przez bezsenne i przemarzone noce, przez całe potoki łez i przez wiele westchnień wiodła ta droga, a on ją wykonał. I sądził, że jest wśród róż i że mu słowik śpiewa. Lecz wszystko to była Kasia.

Tak głośno biło jego serce, aż myślał, że to każdy słyszy, że to słyszy i Kasia. Ale nie słyszał tego nikt, wszystkich oczy były zwrócone na nią, ani Kasia tego nie słyszała, ponieważ do niego nie spieszyła.

Gdy skończyła śpiewać, klaskano i wołano; Jaś ani klaskał, ani wołał, ale miał wielką radość. Gdyby klaskał, mógłby zwrócić na siebie uwagę, gdyby zaś wołał, niezawodnie wołałby „Kasiu!“ Cieszył się tylko, cieszył się nieudaną radością.

Radość zaczęła przemijać. Wystąpił śpiewak i Kasia już nie była sama na scenie. Śpiewak przysięgał jej miłość i ona jemu przysięgała miłość, i objęli się i całowali. Jaś wtedy obudził się ze swoich marzeń, był z nieba strącony na ziemię. Tu już nie był wśród róż, raczej czuł ciernie. Serce zaczęło bić wcale inaczej, ale na twarzy pobladł.

I śpiewali razem, śpiewak i Kasia, śpiewali o swej miłości, nieustannie o swej miłości. Podczas gdy ludzie klaskali i wołali, Jaś ani wołał ani klaskał. Wtedy gdyby wołał, zawołałby: „Teatralna księżno!“ Lecz mógłby stać się pośmiewiskiem.

Była to Kasia. I teraz poczęły się w głowie jego odzywać słowa: „To nie Kasia.“ Tamta była, lecz nie ma jej więcej. Do niej droga była trzy lata długa, wiodła przez smutek, łzy i westchnienia, i dziś gdy tę drogę przebiegł, prawił sam do siebie: „Gdym ją znalazł, nie jest to już ona...

Była to Kasia i nie była.

Gdy przedstawienie skończyło się, słyszał w koło siebie głosy: „Powiozą ją do domu.“ Wybiegł z teatru, szukając powozu, w którym ją powiozą. Zobaczył powóz, był pełen wieńców, które narzucali jej w teatrze, i młodzi ludzie wyprzęgali z niego konie, wprzęgając się sami. Wydało mu się to nader brzydkiem, lecz było mu to na rękę. Zaprzągł się również. Kiedy była droga do niej trzy lata długa, przecie musiał się na nią popatrzeć z bliska, ponieważ był przy niej.

I czekał u dyszla.

Kasia weszła do powozu i usiadła pośród wieńców i kwiatów. Młodzi ludzie wznosili kapelusze i krzyczeli. Jaś także wywijał kapeluszem i krzyczał. Kasia uśmiechała się na wszystkie strony i kłaniała się na wszystkie

strony. Uśmiechała się do wszystkich jednakowo i kłaniała się wszystkim jednako, Jasiowi też przypadła cząstka tego uśmiechu i cząstka tych ukłonów. Podział szczęścia więc był równy.

Wśród krzyku wieziono ją, a Jaś szedł tuż obok niej, mógł do niej przemówić, gdyby przestał krzyczeć; mógł się jej dotknąć. Kiedy się przybliżyli do jakiej latarni i ta rzuciła światło do powozu, rzucał też i Jaś tam swe spojrzenia; lecz tylko na chwilę, obawiając się spotkać z jej wzrokiem. Lecz próżno się lękał, nie miała ona czasu do obserwacyi, musiała bowiem uśmiechać się do wszystkich i kłaniać się na wszystkie strony. Już i dłużej na nią patrzał, ponieważ widział, że i inni na nią długo patrzyli. Patrzał na nią długo i oczy jego z jej oczyma nie spotkały się. Zdawało mu się jednak, że się oczy ich zbiegły, lecz była ciemność, a człowiek coś znaczy tylko przy świetle.

Człowiek między mnóstwem ludzi widzi mniej i wydaje się mniejszym człowiekiem. Jak wśród mnóstwa głosów zanika nasz głos, tak też wśród tłumu ludzi gubimy się jako ludzie. Tłum gdy jest głupi, a głupim jest zawsze, zarażamy się tłumem i głupotą. Jeden człowiek byłby nie ciągnął Kasi w powozie; byłby rzekł: „Są do tego konie.“ Tłum wprzęgł się bezmyślnie i rzekł: „Ja jestem koń,“ i był koniem.

Z tym tłumem podążał Jaś i krzyczał ze wszystkimi. Przestał być Jasiem. Był w tej chwili jednym z tych, którzy ciągnęli i krzyczeli i wznosili kapelusze.

Nareszcie zatrzymali się przed domem i Kasia wyskoczyła z powozu. Stanęli wszyscy przy jej mieszkaniu i ci młodzi panowie pomagali jej wysiadać z powozu i wprowadzali ją na schody. Inni wyjmowali z powozu wieńce i nieśli za nią. Jaś także wziął jeden i niósł za ostatnimi. Chciał widzieć, jak mieszka, lecz więcej szedł bezwiednie, tylko jako cząstka tego tłumu, który niósł wieńce.

Wszystkiego nie widział w mieszkaniu, ale przyznał że mieszkanie było wspaniałe. W pierwszym pokoju młodzieńcy kładli wieńce i wychodzili; Jaś uczynił tak samo, położył swój wieniec i odszedł.

Kiedy wydostał się na ulicę, nadciągnął pochód z pochodniami i zatrzymał się przy domu. Śpiewacy śpiewali i Kasia ukazała się na balkonie, i dziękowała wszystkim grzecznie i wszystkim równo; także jemu zapłaciła cząstkę i on ją przyjął. Słyszał ją mówiącą, i gdy przemówiła, zdawało mu się, jakoby ją teraz po raz pierwszy słyszał, w teatrze bowiem tylko śpiewała.

Zaczęli się wszyscy rozchodzić na wszystkie strony i Jaś sam na ulicy przed domem Kasi pozostał. A gdy był sam, przestał być członkiem owego tłumu mnóstwa, stał się znowu człowiekiem, był Jasiem.

Stał naprzeciwko domu i patrzał na oświetlone okna. Wszak wiedział dobrze, które to są okna, ponieważ przed chwilą złożył wieniec na pierwszem piętrze.

I teraz tam patrzał i przysłuchiwał się, czy nie usłyszy jakiego głosu, i dosyć ich słyszał. Było tam gwarno, snadź zabawa, uczta i wielu gości na niej.

Słyszał rozmowy, gwar i śmiech, widział blask. Słyszał śpiew różnych głosów, usłyszał też Kasię, i tu zaczął rozmawiać sam z sobą. Rad byłby ustać w oknie, aby wszystko zobaczyć. Lecz nie było można. Domyślał się więc wszystkiego, czego nie mógł widzieć.

Pod oknami paliła się gazowa lampa i gdy przyszedł człowiek jakiś z drabiną, aby zagasić lampę, chciał go prosić, aby mu dozwolił wejść na drabinę. Tak byłby mógł popatrzeć wewnątrz, byłby mógł zobaczyć, z kim mówi, do kogo się śmieje, z kim śpiewa. Lecz był do swego miejsca jakby przymarznięty i nie mógł od niego się oderwać.

Pytał się sam siebie czego tu rzeczywiście chce i czy tu jest na właściwem miejscu. Ciężko to mówić, ciężko odpowiedzieć. Łatwiej wymędrkować coś o istocie ducha, prędzej odpowiemy na to, co jest człowiek, niż wyszukać odpowiedź na to, czy tu jest Jaś na właściwem miejscu. Jest i nie jest. To go coś odpędza stąd, to go trzyma tutaj, tak że nie może się ruszyć.

Słysząc z góry śpiew Kasi, coś go kusiło, aby odpowiadał. Śpiewała pieśni z podgórza, śpiewała to, co śpiewała z nim w wioskach. Gdyby miał skrzypce ze sobą, byłby odpowiadał, byłby się odezwał. Myślał pewien czas, że powinien pobiedz po skrzypce i że powinien odpowiadać. Lecz nie szedł. Rozumował tylko. Jeśliby poszedł po skrzypce i zagrał pod oknem, byłoby dobrze... Kasia usłyszałaby go, i cóż z tego? Przelękłaby się? Możeby śpiewała i żartowała dalej? I czyżby jej było do żartów i do śpiewu? Dajmy na to, żeby tak uczyniła; goście widząc nadzwyczajne jej rozdrażnienie, byliby ją pożegnali, i Jaś byłby tu sam a ona tam sama. Grą swą mógłby ją zasmucić, gościeby się rozeszli, i wszystkoby się skończyło, co widzi i słyszy. W swych rozumowaniach doszedł do tego wniosku, że od niego zależy, jak długo mogą się bawić i śpiewać. Gdyby on rzekł: „dość,“ byłoby dość. On im daje gościnę, on ją im przedłuża; czyż kto z nich o tem pomyślał.

Jaś aż się uśmiechał, że się stał tak potężnym panem; nadął się pychą, że to wszystko jest w jego mocy, co tam na pierwszem piętrze się działo.

Nic nie zrobił, a jednak się doczekał końca. Panowie i panie rozchodziły się od Kasi i na pierwszem piętrze ucichło. Na ulicy gdzie stał, nie było słychać żywej duszy.

Światła w oknach Kasinych zgasły i jedno okno się otworzyło. Była pogodna letnia noc, mogło więc okno przez całą noc być otwarte.

Księżyc prawie świecił w tę stronę, gdzie znajdowały się okna Kasine, Jaś zaś stał w cieniu przeciwległych domów.

Z okna wychyliła się głowa, pewnie Kasi głowa. Jaś stał naprzeciwko niej i był sam i ona była sama. Lecz głowa się skryła i więcej nie ukazała się.

Jeśliby był chciał do niej się odezwać, mógł był pierwej to uczynić, teraz już było za późno. Co mówić? Gdzie zacząć i gdzie kończyć? Musiałaby to być mowa bardzo długa albo tylko jedno słowo. A jakież to słowo? Gdzie je znaleźć?

Przed trzema laty, kiedy byli społem, choćażby była od niego i dziesięć razy dalej, byłby przemówił do niej. Teraz był o kilka kroków i nie przemówił. Teraz zbierało mu się równocześnie na gniew, na płacz i śmiech, a przecie nie śmiał się, nie płakał, i nie gniewał. Skąd wziąć tę mowę, któraby była i gniewem, i śmiechem i płaczem?

A jednak znalazł ją. Kiedy głowa znikła z okna i było długi czas spokojnie, Jaś zawołał ze swego ukrycia: „Kasiu!“ W tym słowie był i gniew, i płacz i śmiech.

Nie czekał długo i głowa znowu ukazała się w oknie i oglądała się z wielką niespokojnością. Oglądała się na wszystkie strony, a że Jaś był w cieniu, nie widziała go. Jaś ani się ruszył. Głowa wkrótce zginęła z okna. Z pewnością myślał, że to przywidzenie, że to dźwięki bez znaczenia. Potem zupełnie na pierwszem piętrze zrobiło się ciemno; widać Kasia zasnęła, widać już spała.

Jaś skradając się pod zasłoną cieniu, wydostawał się na sąsiednią ulicę, obiecując, że przyjdzie częściej zwodzić ją swym głosem, jeśli czego innego nie wymyśli.

Błąkał się po prazkich ulicach i błądził w prawdziwem znaczeniu. Błądził i myślami swemi, błądził i wyobraźnią. Jeszcze słyszał głosy, śmiech, śpiewy, widział pochodnie i rozpromienioną twarz i podczas tego jakoby zawołał: „Kasiu!“ I gdy to zawołał wszystko pierzchło.

I zdawało mu się, że znowu stoi przed Kasinym domem, i zaprawdę stał tam. Nigdzie nie było żywej duszy, dom, ulica pogrążone były we śnie, nigdzie żadnego głosu jak gdyby nic dziś nigdzie było. Wszystko, co tutaj dziś się działo, odzywało się tylko w Jasiu, było odgłosem, odgłos ten był prawdziwym, niekiedy jakby się odbijał. Pochodnie jakby płonęły w jego piersiach, wołania jakoby gwałtem wydzierały się z jego piersi, jak gdy miał wołać za całe zastępy...

Następnego dnia, gdy Kasia znowu śpiewała, Jaś znalazł się pierwszym w teatrze. Teraz, po podniesieniu zasłony, nie przedstawiała scena lasu, lecz jakiś dom, rojący się od mnóstwa ludzi i gwaru. W domu odbywał się festyn, Kasia śpiewała. goście się bawili. Akt pierwszy kończył się śpiewem, któremu jeden z orkiestry przygrywał solo; publiczność klaskała z zadowolenia. Śpiew ten wykonywała Kasia, która z przejęcia się się wielkiego i ze zbytku wysilenia zemdlała, na co zasłona zapadła.

Gdy Kasia zemdlała, Jaś mimo woli wykrzyknął. Lecz publika klaskała ciągle, zasłona się podniosła, Kasia wystąpiła, i jakby nic nie zaszło, dziękowała, uśmiechała się i to po kilkakroć, dopóki zasłona nie spadła. Gdy to dziękowanie widział Jaś, współczucie znikło z serca; pogarda zagrała mu na ustach i jakby do swego sąsiada mówił, odezwał się na głos: „Teatralna księżna.“

Sąsiad wziął te słowa za pochwałę i podwyższył ich znaczenie. „Teatralna królowa!“ dorzucił sąsiad, i przyświadczał sobie, co było niejako poświadczeniem Jasiowi. „Teatralna królowa!“ powtarzał po nim Jaś, jakby potwierdzeniem swym mógł spotęgować wyrok sąsiada.

Co się jeszcze działo w teatrze, to już Jaś

ani widział ani słyszał. W myśli jego utkwiło silnie owe solo pierwszego skrzypka z orkiestry, i to, jak Kasia zemdlała, jak zasłona spadła, jak się znowu podniosła, jak Kasię prędko minęły zemdlenia, tak że mogła dziękować i uśmiechać się.

Po skończeniu przedstawienia, nic dziś nie było słychać, czy Kasię młodzi panowie zamiast koni zawiozą do domu. Jaś jednak stanął w tem samem miejscu, którędy wczoraj Kasia wychodziła z teatru. Powóz już zajechał lecz Kasia nie wsiadła; kazała woźnicy jechać naprzód, sama zaś poszła piechotą. Szła piechotą lecz nie szła sama. Obok niej kroczył bardzo przystojny młodzieniec, Kasia zwiesiła głowę na jego ramieniu, rozmawiali widać czule. Za nimi w pewnej odległości postępowało więcej młodzieży, bez wątpienia ci którzy wczoraj ciągnęli powóz; dziś szli raczej jako honorowa albo przyboczna straż.

Z tą młodzieżą szedł także i Jaś i z rozmowy ich dowiedział się i o nazwisku i stanie tego który towarzyszył Kasi; lecz mało go obchodziło i to nazwisko i jego stan. Dowiedział się również, że ją zawsze on odprowadza; powóz, w którym Kasia jeździ, że był jego powozem i że w nim jeździ i we dnie, gdziekolwiek i dokądkolwiek jej się podoba.

Na to już nie mógł być obojętnym, twarz nabiegła mu krwią. Lecz przemógł siebie, i mówił do sąsiada z całą obojętnością: „Ja wiedziałem już o tem dawno."

Sąsiad, bez najmniejszej wątpliwości, nie zwrócił uwagi na te słowa, ani na tego kto je rzekł.

Skoro doszli aż do domu, w którym mieszkała Kasia, towarzysz jej żegnał się z nią bardzo serdecznie, całował jej rękę i kłaniał się bardzo nisko. Ukłoniwszy się raz ostatni, oddalił się, Kasia weszła do domu, i reszta rozchodziła się także w różne strony; tylko Jaś pozostał na tem miejscu, na którem stał wczoraj.

Był znowu pod zasłoną cienia przeciwległych domów, tylko promienie księżyca padały w całym blasku na Kasi dom, i na jej okna.

Teraz było w domu spokojnie. Była Kasia sama; mógłby więc z nią mówić. Lecz cóżby mówił?

Gdy tak strzelał wzrokiem po tych oknach, za któremi wisiały drogie firanki, myślał już zawołać: „Kasiu!" żeby otworzyło się okno i żeby się w niem ukazała Kasia. Ale nie zawołał, a okno jednak otworzyło się i Kasia wyjrzała z niego. Patrzała na niebo i gwiazdy. Oddaliła się od okna i Jaś słyszał, jak sobie wyśpiewywała pieśni, między któremi poznał wiele z podgórza, z wypróchniałego dębu. Drgnął... Wróciła znowu do okna, patrzała z niego na niebo i gwiazdy, i usłyszał Jaś jak nuciła półgłosem: „Osierociało dziecię."

Na to Jaś zadrżał, jakby mróz przebiegł po kościach jego. Więc jest osieroconą, jest smutną? Przypomina sobie? Nie wystarcza jej to życie świetne, jakie prowadzi? Mógł do niej przemówić, mógł jej zaśpiewać, mógł do niej się zgłosić, byłby się wszystkiego dowiedział, byliby razem.

Już ją znalazł i mógł ją zawiadomić, że się tu znajduje, ale nie mógł tego uczynić. I znowu przyszło mu na myśl solo pierwszego skrzypka, zemdlenie, zasłona, uśmiech przy podziękowaniu, i odprowadzanie, i ufność, i powóz, i przy tem wszystkiem nucenie „Osierociało dziecię," z tego haosu wyszło znowu imię „teatralna księżna." Jeśliby ją chciał najpiękniej i najwłaściwiej nazwać, byłby nie mianował ją „Kasią" lecz „teatralną księżną." Było to w ustach jego wyrazem pogardy.

Gdy głowa Kasina znowu zniknęła z okna i kiedy śpiew i dzisiejszy dzień przeszły, cofał się też i Jaś stamtąd; dziś już nie ukradkiem, i nie błądził wcale. Dziś prosto dążył do swego tymczasowego mieszkania, a w drodze huczało mu w głowie: „Osierociało dziecię," jakby dopiero słyszał śpiewającą Kasię.

Na drugi dzień wypytał się o mieszkanie dyrektora orkiestry, poszedł do niego z propozycyą aby go przyjęto do orkiestry jako skrzypka. Dyrektor dał coś zagrać Jasiowi, z czego zupełnie był zadowolony, i obiecał, że go nie tylko przedstawi władzy ale nawet i wstawi się za nim. Żądał jeszcze Jaś aby mu dozwolił, jako na próbę przed publicznością, zagrać owo solo w orkiestrze. Dyrektor kazał owo solo zagrać Jasiowi przy sobie na próbę; Jaś grał, dyrektor uśmiechał się i mówił mu, że go to mocno cieszy.

I Jaś także się cieszył. d. c. n.

Korespondencya Opiekuna Domowego.

Zurych, 15 marca 1876 r.

IV.

Na zakończenie listów moich dodam tu jeszcze kilka słów, uzupełniających obraz życia społecznego w Zurychu.

Jak dla handlu, tak też dla różnorodnych gałęzi przemysłu i życia towarzyskiego komunikacye mają ogromne znaczenie. Są to żyły przez które broczy krew organizmu społecznego i czem ich więcej, tem organizm jest bardziej rozwiniętym, czyli innemi słowami stopień cywilizacyi pewnego kraju da się określić przez ilość i jakość komunikacyj. Mówię o ich zupełnie naturalnem rozwoju, bo wiadomem jest ile oszustw i matactw dokonanem zostało na tem polu, zbyt dobrze wiadomo ile towarzystw akcyjnych dróg żelaznych i żeglugi, pojawiało się tylko jako okazy spekulacyjne różnych mataczów, nie zaś jako wynik organicznych potrzeb miejscowych.

Zurych w całej Szwajcaryi ma bodaj najwięcej dogodności pod tym względem. Najgęstsza sieć kolei żelaznych pokrywa północ i północo-wschód Szwajcaryi, w środku zaś tej sieci leży Zurych.

Wszelkie komunikacye stosownie do brzmienia art. 33 konstytucyi szwajcarskiej, są pod bezpośrednim zarządem sejmu związkowego i przeto pod tym względem panuje jednostajność we wszystkich kantonach.

Godnem jest uwagi, że pomimo tylu trudności, jakie stawia przyroda tutejsza budowie dróg żelaznych, przy koniecznej potrzebie częstych bardzo tunelów i mostów, jest obecnie na gruncie szwajcarskim do 2,000 wiorst kolei żelaznych i na tej przestrzeni więcej jak 60-siąt tunelów, które stanowią prawie $1/_{30}$ długości dróg, niektóre zaś z tunelów są po 3 i 4 wiorsty długie.

Komunikacya żelazno-kolejna odbywa się tu tylko we dnie, a od 11-ej wieczór do 5-ej rano żaden pociąg nie ruszy z miejsca. Prawda, że dosyć jednego dnia, aby zkomunikować ze sobą dwa najodleglejsze punkta Szwajcaryi. Jazda tu wolniejsza niż u nas, a płaca od wiorsty większa dla klasy 3-ej (5,4 cts. od kilometru), a znacznie mniejsza dla klasy 1-ej i 2-ej. Dworce są bez porównania skromniejsze i tak rozkosznych bufetów jak u nas, tu się nie znajdzie. Płaca służącym wyższych stopni jest znacznie mniejsza niż u nas, bo najważniejsza osoba inspektor dworca 1-ej klasy nie pobiera nad 4,200 fr. (około 1,260 rs.), a naczelnicy stacyj 2-ej klasy 1,740 do 2,400 fr. (522—720 rs.), u nas zaś zwykle 1,800—2,000 rs., naczelnicy stacyj 3-ej klasy 1,320—1,800 fr., ich pomocnicy 1,080—1,440 fr., kasyerowie na wielkich stacyach 1,320 do 2,700 fr., za to niżsi oficyaliści są opłacani daleko lepiej: konduktorowie starsi naprzykład, pobierają 1,320—1,620 fr., stosownie do klasy których jest 4, konduktorowie młodsi, podzieleni na 6 klas, pobierają po 1,080—1,380 frank. i oprócz tego wszyscy, stosownie do klasy $3/4$, 1 i 2 cts. od wiorsty; pensya bywa podwyższona w razie choroby przez ciąg trzech miesięcy; maszyniści płatni są po 2,400 fr. rocznie oprócz premij od godzin, procentów od ekonomii i t. p.; podpalacze na lokomotywach 1,020 do 1,380 fr. i procenta. Obsługa przy pociągach i w dworcach choć mniej liczna, ale bardziej pilna, a co najwięcej, że pomimo gburowatego od natury charakteru Szwajcarów, grzeczna dla podróżnych 3-ej klasy, co nie wszędzie się spotka.

Telegrafów jest w całej Szwajcaryi przeszło 6 tysięcy wiorst i do 600 biur telegraficznych. Płaca za depeszę wewnątrz Szwajcaryi stanowi tylko 50 cts. (15 kop.) za 20 słów. Telegrafy są przeprowadzone nawet na góry jak Rigi-Kulm i Uetliberg, żeby turyści zatrzymujący się tam na parę dni w hotelach, mogli mieć i pod tym względem wygodę.

Najwyższy urzędnik w zarządzie telegraficznym pobiera do 6 tysięcy franków, zwykli zaś telegrafiści 3,200 fr. rocznie i oprócz tego pewien procent od każdej depeszy.

Poczta listowa gra tu wielką rolę, bo na każdą jednostkę ludności wypada rocznie do 20 listów, nie licząc w to druków, przeto ruch jest znaczny. Opłata zwykłego listu wewnątrz Szwajcaryi kosztuje 10 cts. (6 groszy). Zarząd pocztowy pomimo wszelkiej wygody dla publiczności, jest bardzo skromny. Często można spotkać naczelników biór pocztowych, pobierających 2,400—4,000 fr. i trudniących się przytem sprzedażą różnych wiktuałów w kramiku tuż obok poczty. Poczty konnej, tak znanej każdemu, kto był w prowincyach rossyjskich, tu nie ma; zamieniają ją karety pocztowe publiczne, z opłatą za miejsce 14—17 cts. od kilometra na równinie, i 21—24 cts. w górach.

Jeziora stanowią tu dość znaczną część środków komunikacyjnych i większe z nich jak Bodeńskie, Genewskie (Leman), Zurychskie,

Luzernskie (lac des quatre cantons), Thün, Brienz, Neuchatelskie, Zug i Lugano mają razem do 80 parostatków, bardzo wygodnie, choć niezbyt elegancko urządzonych. Bilety jazdy są tylko 2 klas za umiarkowaną cenę.

Że praca fizyczna ceni się tu wszędzie stosunkowo wyżej niż w wielu innych miejscach, szczególniej wschodnich, można uważać z tego, że kiedy kapitan parostatku pobiera 2,500 do 3,000 fr., obermaszynista 3,500, maszyniści, sternicy 1,800—2,300 fr., ich pomocnicy 1,300 do 1,500 franków; majtkowie i podpalacze są płatni od 1,200—1400 fr. oprócz procentów od czystego zysku.

W ogóle komunikacye dają pracę 1,075 ludziom, czyli 3% ludności pracującej miasta Zurychu, co stanowi dwa razy większą liczbę od całej masy osób składających zarząd publiczny miasta.

O tym ostatnim, zatrudniającym 500 z górą osób (1,6% ludności pracującej) mało co powiem, bo to bezpośrednio nie wchodzi w plan moich listów. Wspomnę tu tylko, że wszyscy urzędnicy są obieralni przez obywateli, z płacą nie najlepszą, tak, że większa ich część dołącza do swoich obowiązków jakie inne zajęcie, będące przedmiotem pracy urzędnika przed obiorem i zostające po ukończeniu służby. Tu zaliczają się różni sędziowie, władza wykonawcza (policya zurychska składa się z 54 ludzi), urzędnicy municypalni, zarządy szpitalów, ochronek, więzień i t. p. Podstawą zaś wszelkiego zarządu, jako objawu zewnętrznego stosunków politycznych, jest tu jednostka zbiorowa, gmina, która stanowi pierwszy i najważniejszy stopień związku politycznego. Ta to gmina, która w całej prawie Europie zlała się całkowicie z szerszym zakresem związku całego państwa, tu istnieje dotychczas i dotąd mocno oddziaływa jak na życie polityczne kantonu, tak też i całego związku szwajcarskiego, pomimo, że ostatniemi czasy ujęto jej wiele praw przez zmiany dokonane w konstytucyi.

Szczególnie dobry wpływ wywiera ta samoistność gmin na początkowe wychowanie ludu, bo choć trafia się, że programy pojedyńczych szkółek gminnych nie są jednostajne, choć uposażenie ich bywa różne, ale za to staranność w urządzeniu, w wyborze nauczycieli, zresztą uznanie, że to jest bezpośrednio owoc swojej pracy, stawią ten pierwszy stopień oświaty narodowej w tak dogodnych warunkach, żeby tego nie dokazała najlepiej urganizowana władza centralna. Chęć z jaką garną się tu wszyscy do nauki nie pozostawia nic do życzenia, brak tylko potrzebnych środków, żeby wychowanie większości ludu nie kończyło się w szkółkach początkowych. Kurs w takich szkółkach bywa zwykle sześcioletni dla dzieci od 5—11 i 12 lat płci obojga. Płaca nauczycielowi oprócz mieszkania, kawałka ogrodu i kilku drobnych dodatków wynosi zwykle 1,200 fr., nauczycielowi zaś szkółki drugorzędnej 1,800 fr. z podwyższeniem płacy przez każde 6 lat od 100 do 400 fr., przez co nauczyciel stara się niezmieniać swego zatrudnienia, licząc na podwyżkę. Szkoła tutejsza kantonalna, odpowiadająca naszym gimnazyalnym, dzieli się na wydział klasyczny i realny, różniące się pomiędzy sobą tem, że w pierwszych wykładają języki grecki i łaciński. O sposobie wykładów szkolnych może kiedy pomówię specyalnie, tu zaś zanotuję tylko fakt godny uznania, że obok wychowania umysłowego, wielką uwagę zwracają na wychowanie fizyczne. Przy szkole jest zakład gimnastyczny i uczęszczanie do takowego jest obowiązkowem, również jak ćwiczenia wojskowe, strzelanie do celu, pływanie, śpiewy. Dla malców ćwiczenia te, również jak posiadanie małej strzelby, mają wielki powab a taki równoległy rozwój wszystkich zdolności dziecka jest zewszech miar korzystny.

Jeżeli pomimo to wszystko, dziecko tak starannie wychowywane staje się w czasie późniejszym, studenckim, tylko chwaliemt burszem, wina w tem nie wychowania, nie młodzieży tej nawet, ale samego społeczeństwa, co utarło na tyle drogi życiowe, tak mocno postawiło pewne ideały towarzyskie, że młodzian na ławie uniwersyteckiej, oprócz swych kursów naukowych, nie znajduje nic, coby zajęło jego wyobraźnię, dało wyjście zasobom uczucia i pole do spróbowania swych sił młodych. Zbyt ciasne granice, w jakich zawartą jest idea klassy średniej nie tylko tutaj, ale w całej prawie Europie zachodniej, spowodowały wytworzenie się bezmyślnych, śmiesznych, a często oburzających głupotą i arrogancyą burszenszaftów. W Zurychu, Atenach szwajcarskich, gdzie młodzieży uniwersyteckiej pod dostatkiem, oddawna istnieje kilka takich to warzystw (Helvetia, Zofingen i inne), celem których jest picie piwa nad miarę, pojedynkowanie się i inne brewerye. Słyszałem o kilku przykładach głupoty do nieuwierzenia: młodzi bursze, nie mając okazyi do pojedynkowania się, umyślnie robili sobie rany na twarzy, żeby mieć honor nosić bliznę i w taki sposób głosić światu o swym męztwie. Pojedynki uczniom politechniki tutejszej są surowo wzbroniono, ale to mało pomaga.

Dodam tu na pochwałę innych narodowości, że większa część szurbów są to albo Szwajcarowie, albo Niemcy, pomimo, że politechnika i wszechnica tutejsze liczą więcej niż połowę słuchaczy cudzoziemców, podzielonych pomiędzy różne narodowości. Tak w r. 1874/75 uczęszczało na politechnikę 711 uczniów stałych i 251 wolnych słuchaczów, a w tej liczbie Szwajcarów nie więcej jak 400, reszta cudzoziemcy z różnych krajów europejskich, nawet kilkunastu z północnej i południowej Ameryki.

Język wykładowy niemiecki, chociaż niektóre przedmioty są również wykładane i w języku francuzkim. Ten przywilej dla języka niemieckiego obraża nieco Szwajcarów romanów, bo poitechnika jest związkową. Pomimo jedności politycznej pewna emulacya co do pierwszeństwa języka zawsze jeszcze istnieje. To mi przypomina anegdotę o wniosku, jaki podał jeden z członków sejmu, kiedy roztrząsano kwestyę odbijania monety: radził on, żeby na monetach zwykły nadpis „Dièu protège....“ zrobić w trzech językach „Gott protège la Schwizera,“ ale znaleziono to niezbyt odpowiadającem wymaganiom logiki i obecnie na pieniądzach szwajcarskich jest tylko jedno słowo po łacinie — „Helvetia.“ Zreszta rachunki pomiędzy niemiecką a francuzką Szwajcaryą zostaną zaspokojone z otwarciem uniwersytetu w Genewie, co ma wkrótce nastąpić.

Smutny fakt mam tu jeszcze do zanotowania, że płeć piękna miejscowa dając niezaprzeczenie wiele doskonałych gospodyń domowych, nie wydała więcej nad dwie czy trzy studentki. Trudno to sobie wytłómaczyć, bo wychowanie panien w szkołach średnich usposobia je dostatecznie do słuchania kursów uniwersyteckich i życie familijne nie staje też na przeszkodzie. Rodzina tu zjawia się najczęściej wynikiem prostego rachunku, swoboda osobista każdego z jej członków ogranicza się chyba względami finansowemi całości, przez co kobieta używa swobód znacznie większych niż gdziekolwiekbądź indziej, a jednak, jak mówię, Szwajcarki, oprócz pedagogii stronią od wychowania wyższego. Sztuki piękne, jak w ogóle w Szwajcaryi, tak też wyłącznie przez kobiety mało są uprawiane, artystów tu na żadnem polu wielu się nie znajdzie, teatr tutejszy lichota, zasilana przez dymisyonowane talenta z Niemiec, więc jak mówiłem już, płeć piękna (używamy tego przymiotnika przez grzeczność, zuryehczanki w większej części okrutnie szpetne i w dodatku bez zębów) odznacza się głównie na polu gospodarki domowej. Tu całe wieki podniosły kulturę życia domowego znacznie wysoko i powiem prawdę, że pod względem trafnie obmyślanych i wykonanych wygodek rozmaitych, Szwajcarya nie ustąpi innym krajom zachodnim. Pod tym względem oddaję im zupełną słuszność — dobre są z nich gospodynie, warte też bardziej gorącej pochwały, ale że listy moje i tak się przeciągnęły, daję pokój i kończę.

Kozienice d. 15 marca 1876 r.

(Dokończenie.)

Pisma peryodyczne są tu dosyć licznie prenumerowane, stanowi to dodatnią stronę inteligentniejszej publiki; prawda, że między prenumeratorami są tacy, których głównie wabi drzeworyt lub przyobiecane premium, są i tacy co zapewne przez skrupuł kart dotąd w otrzymanych pismach nie przecięli, lecz to nikomu nie przeszkadza, dość że się wspiera literaturę. Większość, należy oddać sprawiedliwość, z zamiłowaniem oddaje się czytaniu.

Wspomnienie o literaturze nasuwa myśl o szkołach, z przyjemnością zatem należy zaznaczyć fakt, że właściciele dóbr i cukrowni w Mniszewie pp. Kassman, zwrócili szczególną uwagę na dzieci fabryczne pozostające dotąd bez zajęcia. Otóż pp. Kassman w widokach czysto filantropijnych i zapobiegając wyradzającemu się z łatwością w dzieciach próżniactwu, zapragnęli szkółki jedno-klasowej. Na pierwszy początek zadeklarowali się dostarczyć nauczycielowi w ciągu lat trzech bezpłatne mieszkanie i obok tego płacić rocznie na szkołę po rs. 140. Etat ogólny tego zakładu, obliczono na rs. 200.

z tego:

pensyi dla nauczyciela	rs.	150
na opał z rębaczem	„	40
„ materyalia	„	4
„ kupno książek dla bied. i nagrody		3
do dyspozycyi dyrektora	„	3
Razem jak wyżej	„	200

Do wypełnienia cyfry etatowej, nie dostawało rs. 60, którą to obecnie włościanie wsi Mniszew z początku na szkoło-wstręt cierpiący, po długich namowach dopłacać przyrzekli, i szkoła dzięki inicyatywie pp. Kassman wkrotce otwartą zostanie.

Ileż to podobnych miejscowości winno brać przykład z czynu właścicieli dóbr wspomnionych, by tym sposobem dzieci fabrykantów i kmieci częstokroć z krzykami włóczące się po drogach, kierować na przyszłych członków społeczeństwa.

Zaczepiłem o drogi, więc i o tych należy wam napisać. Drogi komunikacyjne szczególniej w okolicach Powiśla, na wiosnę i jesień są prawie nie do przebycia, taki stan nie pozostaje bez wpływu na handel i przemysł jakby w powiciu będące, i dla tego zapewne stacye pocztowe przez szacunek dla dobrych koni, z takowemi pochwalić się nie życzą.

Niedawno na trakcie Kozienicko-warszawskim zniesiono dwie stacye pocztowe w Ryczywole i Mniszewie, a ustanowiono jedną w osadzie Magnuszów odległej od Kozienic o wiorst 24, po najgorszej więc drodze stacya miejscowa trzy razy w tygodniu wyprawiać musi pocztę do Magnuszowa, która znowu na wiosnę i jesień często z Warszawy niedochodzi z powodu przerwanej komunikacyi wylewem rzeki Radomki pod Ryczywołem, gdzie istnieje coś dziwacznego ze starych i nierównych desek wytworzone, przewozem nazwane.

Zniesienie tych stacyj skrzywdziło okolicę i dotknęło samych pasażerów skazanych na męczące adagio w przeciągu werst 24-ch, którzy często piaszczystą i dołowatą przestrzeń, dla zabezpieczenia się od kolek, w boku, spacerem przechodzić muszą, ale nie sądźcie żeby całe werst 24 przechodzili, niedozwoliłaby na to grobla pod Gruszczynem, dosięgająca gliną piasty u koła.

Zmiana poprzednio koni w Mniszewie i Ryczywole skracała nudną podróż, i choć nie tęgie szkapy ale zawsze nieco wypoczęte, toczyły spieszniej pocztową dryndulkę.

Przeciw przerywaniu komunikacyi rząd przedsięwziął środki i wygotowany projekt budowy stałego mostu na Radomce w miejsce dotychczasowego przewozu, przedstawiony został właściwemu ministeryum do zatwierdzenia. A więc będziemy mieli most, ważną jednak rzecz pominięto, to jest związanie drogą bitą Kozienic z Mniszewem (werst 35), skąd od dawnego czasu jedna z lepszych dróg bitych prowadzi do Warszawy. Związanie to dla dobrobytu miasta i okolicy jest pożądane, zbudziłoby bez wątpienia drzemiący handel, czyniąc Kozienice punktem kulminacyjnym.

Odległa od Kozienic o werst 4, Wisła, w d. 12 (24) lutego o godzinie 4-ej rano lody łamać zaczęła, z początku lękano się złych skutków, dla tego władza właściwa przy wale ochronnym zdwoiła baczność. Obawa okazała się próżną, ta wspaniała matrona mimo znacznego przyboru wody i pomarszczonej falami powierzchni, płynie spokojnie, a choć przed kilkoma dniami doniesiono znowu, że pod wsią Głuszec woda sroży się i odpowiednie przedsięwzięto środki, dziś kiedy to piszę, niebezpieczeństwo minęło.

Od 19 marca b. r. jak nas zawiadomił Kuryer Warszawski, statek parowy przemyka po pienistej fali do Nowej Aleksandryi, i dopóki stan wody pozwoli i pasażerów starczy, ciągle kursować zamierza.

Kiedy zbliżająca się reforma sądowa zwraca powszechną uwagę, i w ogólności prawie wszystkie pisma otwierają swoje kolumny, dotykając z troskliwością przyszłego samorządu gminy, pozwólcie, że na zakończenie poznajomię was i z tą okolicznością, że powiat Kozienicki zaproponowano podzielić na sześć okręgów sądowych, mianowicie:

I Okręg do którego zaliczono gminy:

	z przestrzenią mórg	pręt.	z ludnością
Kozienice	20,268	47	4,683
Brzeznica	12,263	—	3,612
Swierże górne	17,827	110	5,406
Razem	50,358	157	13,683

II Okręg z gminami:

	z przestrzenią mórg	pręt.	z ludnością
Gniewoszów gran.	463	123	2,316
Sieciechów	10,489	246	3,712
Sarnów	13,993	211	4,710
Razem	24,946	280	10,738

III Okręg z gminami:

	z przestrzenią mórg	pręt.	z ludnością
Grabów nad W.	20,885	253	5,097
Góra Puławska	14,500	—	4,678
Oblassy	18,424	29	5,018
Razem	53,809	281	14,783

IV Okręg z gminami:

	z przestrzenią mórg	pręt.	z ludnością
Zwoleń	5,640	175	4,254
Policzna	25,767	—	5,368
Tozów	12,452	250	4,863
Suskowola	15,842	—	2,503
Razem	59,712	128	16,988

V Okręg z gminami:

	z przestrzenią mórg	pręt.	z ludnością
Brzuza	10,896	78	3,172
Jedlnia	23,672	35	3,282
Maryampol	8,082	135	3,637
Bobrowniki	11,197	54	3,237
Razem	53,848	2	13,328

VI. Okręg z gminami:

	z przestrzenią mórg	pręt.	z ludnością
Grabów n. Pilicą	22,177	293	3,744
Trzebień	12,088	—	4,550
Rożniszów	12,090	—	3,706
Razem	46,355	293	12,000

Miejsca przebywania sądów wskazano:

dla I okręgu miasto Kozienice.
„ II „ osada Gniewoszów-Granica.
„ III „ wieś Mszadla gminy Oblassy.
„ IV „ osada Zwoleń.
„ V „ wieś Brzuza gminy tegoż nazwiska.
„ VI „ wieś Grabów nad Pilicą gminy tegoż nazwiska.

Rozchody na utrzymanie gminnych sądów zaproponowano:

I. Wynagrodzenie składu gminy:

dla sędziego gminnego	rs.	500
„ ławników	„	312
„ gminnego pisarza	„	300
Razem	rs. . . .	1,112

II. Przejazdy sędziego rs. . 75

III. Kancelaryjne wydatki:

najem lokalu	rs.	75
opał, światło	„	50
pismienne materyały	„	50
najem stróża	„	50
Razem	rs.	225

Czyli w ogóle dla okręgu rs. 1,412

Sieradz, dnia 29-go marca 1876 r.

Zaledwie kapryśna i jak ją szan. korespondent wasz z Poznania ostatnio nazwał niegrzeczna Warta, powrócić raczyła do swego normalnego stanu, gdy znów mamy do zanotowania szkody wyrządzone przez 14-togodzinny silny wicher, który jak wszędzie, tak też ponad Sieradzem i jego okolicą srożył się w nocy z dnia 12-go na 13-ty z. m.

Oprócz wielu płotów, którym wiatr nadał nader śmieszną bo zgarbioną pozycyę, zanotować mi przychodzi, iż prześliczny park nasz złożył mu daninę z 6 niebotycznych drzew.... W okolicznych wsiach poprzewracał stodoły, pozrywał dachy z chałup wieśniaczych i t. p. Wiatru takiego już dawno nie pamiętamy; mógłbym go nazwać małym huraganem a raczej orkanem, bo nie wychodzących na ulicę ledwie że nie wznosił pod obłoki... Tak szkodliwą i zgubny wpływ na nas wywierającą przemianę klimatu, niektórzy przypisują wyrębywania nad miarę lasów w kraju naszym. Jeżeliby tak rzeczywiście być miało, to i nie mamy się też czego dziwić, że i w naszym zakątku temperatura na naszą niekorzyść się zmienia: lasy bowiem zmniejszają się wciąż do minimum. Wszystko marsz marsz do Szczecina, a stąd po za morza... a Bóg jedyny wie, czy czasem to samo drzewo nie przebywa do nas ze swej *von Osten nach Westen* pielgrzymki, ale potrzykroć droższem... Tak, z bólem serca wyznać muszę, iż dawne polskie przysłowie: „im dalej w las tym więcej drzew“ nie może teraz mieć u nas zastosowania, ale raczej mówić wypadnie: „im dalej w las, tym *mniej* drzew.“ Wszak *tempora mutantur!*

Drugą niemniej ciekawą rzadkością w atmosferze jest to, iż w dniu 7 z. m. między godz. 1 a 2 z południa ponad Sieradzem co prawda nieznacznie, ale za to między Złoczewem a wsią Stolcem, jak powracający ztamtąd opowiadali, mocno grzmieć miało w połączeniu od czasu do czasu z błyskawicami; w Wieluńskiem piorun nawet uderzył w wiatrak i takowy w niwecz przez ogień obrócił. Cóż to za zmiana temperatury! Czego się w lipcu lub sierpniu spodziewać, jeżeli już teraz biją pioruny...

Zwrócę teraz, czytelnicy łaskawi, oko na nowiny miejscowe i okoliczne; najprzód podzielę się z wami wiadomością, iż w majątku Kobierzycku, pod Sieradzem, własności p. Wincentego Prądzyńskiego, przy fabryce narzędzi rolniczych od kilku tygodni puszczony został w bieg młyn parowy poruszany przez lokomobilę. Młyn ten ma 3 ganki i przerabia jak mówią kilkadziesiąt korcy zboża dziennie.

Ba! mieliśmy sposobność przed dwoma tygodniami zachwycać się niby-optycznymi obrazy i menażeryą do niejakiegoś Scholza należącą. Kilka szkiełek raz zaledwie powiększających, zawarte pod niemi ryciny okładkowe: ot całe arcydzieło optyczne; trzy kroko-

dyle nilowe senior, junior i jeszcze junior, wąż anakonda którego karmi właściciel raz na miesiące żywym królikiem, 2 żmije, ichneumon, 2 małpy, 3 żółwie, 2 papugi, i nakoniec jeszcze jakiś królewski ptak, który każdego wchodzącego wita skinięciem głową — oti *finita la comedia!* Co nas najwięcej na afiszu bawiło to oświadczenie *że dzieci z familią (sic) płacą połowę!*

Pozwólcie uniżonemu słudze teraz, mili czytelnicy, rzucić swą szczyptę do szkatuły ogólnego dobra, jaką ma być statystyka. Wiadomo powszechnie jak dowodzą ekonomiści nasi iż my nadzwyczaj mało zajmujemy się tym co dotyczy statystyki i ekonomiki; tak mało dbamy o przyswojenie sobie wiadomości, które czerpać możemy z tych nauk, i społeczność nasza tak mało przyczynia się do rozwoju prac na tem polu, że pojedyńcze usiłowania rozbijają się o różne szkopuły, pokonanie których przechodzi możność i dobre chęci jednostek. Posiadamy już zacnych pracowników w tej gałęzi a mianowicie profesorów pp. Załęskiego i Simonienko, którzy pracują nad obszernemi dziełami statystycznemi. Prof. Załęski wyprawił obecnie z pod prassy na publiczną widownię pierwszą część swej „Statystyki porównawczej Królestwa Polskiego.“ Miałem sposobność szperać w tej książce i wyznaję, iż bardzo mi się podobała i powinna u wszystkich znaleść przyjęcie, a każdej dobrze myślącej rodzinie książka ta może być zalecaną.

Autor traktuje każdą gubernię z osobna; o pojedyńczych powiatach i miejscowościach tu jeszcze nie może być mowy, raz dla niedostatku wiarogodnych danych, potem znów dla tego, że ogół nasz nie przyzwyczajony jeszcze do zakupienia tak drogiej książki; o to jednak ostatnie mniejsza — to kwestya przyszłości. Ale z którego rękawa wysypać wiarogodne wiadomości o stanie kraju, kiedy prowincya mało o zgromadzenie materyałów statystycznych się kłopocze? Do kogo się więc w danym razie odzywać? Rzecz nader prosta... do młodej generacyi. Zapukajcie a będzie wam otworzone! Młodzież chętna, najwięcej może znaleść sposobności do zgłębiania wszelkich szczegółów i faktów; ogłaszając zaś, wołają ekonomiści, zebrane wiadomości, mogące wchodzić w zakres wywodów statystycznych, i posiłkując się niemi wzajemnie, tym łatwiej będzie mogła nabywać wiadomości i zakres poglądów swych na cały kraj rozprzestrzenić.

Postępując po wyż wytkniętej prostej drodze, chcę wam dzisiaj jeszcze, trochę zestawić wiadomości statystycznych o Sieradzu.

Zaczynam od rolnictwa, zwłaszcza, że Sieradz jest przeważnie miastem rolniczem. Jak naucza statystyka miasta za rok ubiegły 1875, ogólna cyfra ziemi w mieście naszem wynosi 2,599 morgów, z tej liczby uprawia się 1,569 morgów, pastwiska zajmują 412 m., pod owocowymi ogrodami znajduje się 96 m., pod parkami 4., pod łąkami 189 m., pod koloniami 210 m., pod wodami 74 m. i pod drogami 45 m. Podział gruntów co do własności: posessyj rządowych jest 3 mających razem 10 morgów, miejskich 1 o 16 morgach, 2 posessye należą do zakładów dobroczynnych i mają 43 m., kościelnych 1 o 6 m. i prywatnych posesyj jest 452 liczących razem 2,480 m.

Podług rozmiaru gospodarstw, grunta tak podzielone: właścicieli od 5 włók do 6 morgów jest w Sieradzu 47 posiadających razem 1,271 m., od 6 do 3 m. jest właścicieli 70 posiadających razem 350 m., właścicieli mniej niż 3 m. jest 335, mających razem 784 m. Czyli w ogóle w Sieradzu jest 452 właścicieli posiadających razem 2,405 m. Rozległość gruntu będącego w posiadaniu miasta dochodzi do 69 m. Przestrzeń jaka była zajęta pod zasiewem pszennym na gruntach miejskich i publicznych wynosiła 1,059 m., pod kartoflami na takichże gruntach 480 m., pod burakami dotychczas nic nie zajęte;ale są widoki plantacyi buraków nie tylko po za miastem ale nawet w całym powiecie, z powodu krążącego projektu założenia w Sieradzu cukrowni na wielką skalę; pod ogrodami warzywnymi znajduje się 66 m.; pod sadami 30 m.; pod pastwiskami, łąkami, błotami i wygonami na gruntach miejskich jest 598 morgów.

W r. 1875	zasiano kor.	zebr. kor.	Sredni sprzęta mor. kor.
Żyta „	„ 816	„ 3,267	„ 6
Pszenicy	„ 41	„ 180	„ 6
Owsa „	„ 727	„ 3,637	„ $7^1/_2$
Z innych nasio.	203	„ 1,086	„ 8
Kartofli „	„ 2,779	„ 13,845	„ $8_2/^1$

Średni urodzaj siana w r. 1875: z trzech morgów był jeden parokonny wóz, czyli w ogóle z 189 morgów było 63 parokonnych wozów siana. Cena jednego korca owoców była 8 rs.

Jedna włóka ornej ziemi najwyżej kosztoła rs. 6,000, najmniej rs. 3,600, jedna włóka łąki najwyżej rs. 3,000, najmniej rs. 1,800. Roczna płaca parobkowi od 20 do 45 rs. oraz wyżywienie i mieszkanie. W czasie siewu dziennie płacono robotnikowi konnemu rs. 2 kop. 50, pieszemu kop. 40, robotnicy kop. 30; w czasie sprzęta konnema rs. 3, pieszemu kop. 60 i robotnicy kop. 35.

Na tym dziś bastuję; dalszy ciąg wiadomości statystycznych, stan ruchu umysłowego i t. d., będą między innemi przedmiotem następnych korespondencyj.

Maksymilian Kempiński.

MÓDLCIE SIĘ ZA NIĄ.

POWIASTKA

Eugeniusza Moret

tłómaczona z francuzkiego.

I.

Już późno, tłumy ludu wychodzą z teatru, obtulając się futrami, bo na dworze zimny wieczór grudniowy, powietrze wilgotne i przejmujące, a gęsta mgła przysłania miasto.

Wśród tego różnorodnego tłumu przyciśnięta do muru stała jakaś biedna kobieta z dziecięciem na ręku, i błagalnym głosem prosiła o wsparcie.

Wielu przeszło, nie zauważywszy żebraczki; inni ją spostrzegli, ale nie chcieli widzieć: inni znów rzucali nieszczęśliwej słowa szydercze i znieważające.... Nie odpowiedziała im, tylko w milczeniu otarła łzę, spływającą po wybladłej twarzy. I znów wielu ją mijało, lecz ona już do nikogo nie wyciągnęła ręki.

Wtem nadszedł młody człowiek, lat dwadzieścia pięć mieć mogący. Zbliżał się powoli smutnie zadumany, a na jego wybladłem licu, zapadniętych oczach i boleśnie zaciśniętych ustach, czytałeś historyę nocy przepędzanych bezsennie i dni przeżytych w wyczerpującej walce o jutro.

Ubranie pomimo późnej pory zimowej bardzo lekkie i bardzo zniszczone świadczyło o strasznej nędzy, a jednakże w ruchach i spojrzeniu młodego człowieka było coś odznaczającego, nakazującego poszanowanie i raz go zobaczywszy trudno było zapomnieć.

Gdy się zbliżył, żebraczka nie podnosząc oczu, wyciągnęła rękę i rzekła nieśmiało głosem prawie cichym:

— Litości panie, dla mego chorego dziecięcia!

Nieznajomy zatrzymał się nagle; sięgnął do kieszeni, lecz po długim szukaniu nic nie znalazł, ręce mu opadły bezwładnie, a niezmierna boleść odbiła się w rysach.

Żebraczka wciąż stała przed nim z wyciągniętą ręką.

— Nic nie mam przy sobie, wyszeptał i szybko się oddalił.

Na kilka chwili przed tem z sali teatralnej wychodziła młoda kobieta, młoda i piękna, wsparta na ramieniu poważnego, orderowego pana.

— Jeszcze nasz powóz nie nadszedł, rzekł stary pan do swej towarzyszki. Zechciej tu zaczekać, a natychmiast go przywołam.

Młoda kobieta odpowiedziała potwierdzającym ruchem głowy i wsparłszy się o mur, zaczęła dokoła rozglądać. Nieopodal stała żebraczka, ujrzała ją, a łza zwilżyła oko pięknej pani na myśl o biednem dziecięciu, drżącem od zimna, chciała pobiedz z datkiem, ale tłum ściśniony ją przedzielał, postanowiła czekać i była pomimowolnym świadkiem zniewag, jakich nieszczędzono ubogiej.

Ale oto ktoś nadchodzi — i młoda kobieta uśmiechnęła się radośnie, widząc ruch nieznajomego. Znalazł się choć jeden szlachetny. Dusze wzniosłe uczuwają radość, spotkawszy sobie podobne i wtedy dumnie rzucają wyzwanie złemu.

Nagle smutek zachmurzył czoło nieznajomej.

Więc w tym olbrzymim grodzie, w krainie zbytków i roskoszy są ludzie żyjący w strasznej nędzy; nie tej, co świeci łachmanami i tarza się w błocie, ale nędzy z dumą na czole, a śmiercią w duszy. I młoda kobieta zapomniała o żebraczce patrząc za oddalającym się.

— O! to nie jest zwykły człowiek, mówiła, nie przyzwyczajony do niedoli gnie się pod nią — więcej go boli upokorzenie, niż niedostatek; zacny i dumny a jednak nieszczęśliwy.

I długo, długo patrzyła za młodzieńcem popadając w bolesną zadumę.

W tej chwili stary pan złączył się z nią, a lokaj otwierał drzwi wspaniałej karety.

— Chwilę zatrzymaj się mój przyjacielu, zawołała, jest tam żebraczka, której chciałabym dać jałmużnę. Weźcie to moja dobra

kobieto, rzekła podając dwa złote pieniądze biedaczce olśnionej blaskiem złota.

Podniosła oczy na nieznajomą.

— Pani, zdołała wyszeptać i pochyliła się jej do nóg.

— Weźcie to, mówiła, a wskazując w dali młodziana, dodała:

„Módlcie się za mnie i za niego!“

Wsiadła do powozu, a dwa ogniste rumaki uniosły ją z szybkością błyskawicy.

II.

Sześć miesięcy upłynęło od tego zdarzenia.

W teatrze przy ulicy Richelieu, przedstawiano po raz pierwszy komedyą obyczajową. Sala była przepełniona; wszystko co Paryż posiadał najznakomitszego, zbiegło się tłumnie, wyższe towarzystwo o godzinę przyspieszyło swe wejście, a ciekawość i oczekiwanie odbijało się na twarzach widzów. Sztuka ta bowiem jeszcze przed ukazaniem się na scenie miała pewien rozgłos. Od kilku miesięcy mówiono o niej w świecie; od kilku miesięcy prasa wyłącznie była nią zajęta. Tajemnica osłaniająca nazwisko autora jeszcze więcej podsycała powszechne uniesienie. To młody człowiek, mówiono, jest to pierwsze jego wystąpienie, to geniusz o wiele wyprzedzający pisarzów swej epoki.

Pierwsze trzy akta odegrane; zupełnie odpowiedziały oczekiwaniu, a nawet je o wiele przewyższyły. Była to komedya Moliera odradzająca się w XIX wieku. Autor przedstawiał tu kobietę z jej strony uczuciowej przeważnie, bronił jej z zapałem, dotykał kobiet wszystkich stanów i pojęć, w wzniosłych słowach oddawał cześć zacnym, podnosił upadłe, wykazując że na ich winę zawsze wpływało uczucie.

Nie trzeba pytać czy komedya, podnosząca podobną kwestyę społeczną i broniąca kobiety z takim zapałem, znalazła oddźwięk wśród publiczności.

Ci nawet, co niezupełnie zgadzali się na moralność sztuki, byli pokonani prześliczną formą i artystyczną jej wartością.

Sala grzmiała hucznemi oklaskami.

W jednej z loż naprzeciw sceny siedziała młoda, piękna kobieta, należąca do wyższego towarzystwa, obok starego poważnego pana. Przez całe przedstawienie jedynie zajmowała ją sztuka i z niespokojnem wzruszeniem oczekiwała końca i sądu publiczności.

Nastąpiło rozwiązanie, w smutnych obrazach zarysowała się rzeczywistość, zakończenie to genialne, wynoszące komedyą, aż do epopei.

— Autor, imię autora! wołały tłumy.

Młoda kobieta podniosła się i oczy utkwiła w scenę.

Nazwano autora, a setki powtórzyły nazwisko Jerzego Franchy. Znów rozległy się oklaski, a publiczność zapragnęła widzieć autora i oddać mu hołd należny.

Kurtyna jednak nie podnosiła się, ale z publicznością trudno walczyć, dała sobie słowo, że musi widzieć autora i znów wśród oklasków wywoływano Jerzego Franchy.

Na scenie wciąż milczano, lecz publiczność ma prawo życia i śmierci, a jakiem prawem poczynający pisarz śmiałby usunąć się od hołdu, jaki chce mu złożyć?

Nareszcie ukazał się młody człowiek, dorodnej postawy, czoło pobladło od wzruszenia, ale w czarnem oku jaśniało życie i ta iskra geniuszu, co wynosi wybrańca po nad tłumy. Tak niespodziewane powodzenie zmieszało go, skłonił się na podziękowanie i chciał oddalić, ale tłum przyjął go z zapałem i przytrzymał przez kilka chwil i zarzucił kwiatami.

Młoda kobieta zadrżała i zwracając się do swego towarzysza szepnęła:

— Jedźmy, jedźmy natychmiast.

Autor zmieszany, chcąc podziękować publiczności za tak serdeczne przyjęcie, pochwycił jeden z bukietów, przycisnął do ust, raz ostatni się skłonił i znikł.

Bukiet wybrany był młodej kobiety, a Jerzy Franchy—to on! On, ten tajemniczy nieznajomy z owego grudniowego wieczoru, któremu w duszy przysięgła przyjaźń.

— Ach, mówiła siadając do powozu, jak to cudownie być człowiekiem wielkich zdolności i szlachetnego serca.

III.

Świetny bal odbywał się u hrabiego de l'Ourmont, wysłużonego generała, ostatniego z owego zastępu zacnych oficerów cesarstwa.

Tłumno, gwarno w salonie, a młoda żona generała, przyjmowała wszystkich z powagą i niewysłowionym wdziękiem; sam zaś pan domu zasiadł do partyi wista z kilkoma staremi towarzyszami broni. Trzy tylko rzeczy zdołały zająć tego starca na świecie: opowiadanie o świetnych potyczkach, postępowanie żony i partya wista.

W przyległym pokoju przechadzał się młody człowiek, odznaczającej powierzchowności, blady i wzruszony z niecierpliwością czegoś oczekując, w tem podniosła się draperya i weszła młoda kobieta.

— Panie Franchy, na cóż wymagałeś odemnie tej rozmowy?

— Ja tylko o nią błagałem.

— Ale ponieważ wiesz, że nie mam siły odmówić, zatem prośba staje się nakazem.

— Pani przebacz, lecz i ja nie miałem siły oddalić się, nie pożegnawszy cię, może na wieki.

— Oddalić się? nie rozumiem co to znaczy panie Jerzy?

— A jednak to bardzo proste, dziś opuszczam Paryż, może nawet Francyą. Wygnanie bywa pociechą, gdy w ojczyźnie nie wolno marzyć o szczęściu.

— Żartujesz pan, opuścić Francyę nazajutrz po tak świetnym tryumfie, ależ jeszcze nie masz ustalonej sławy, lat pięć musisz na nią jeszcze pracować. Nie panie, nie wolno zagrzebywać zdolności, jakich ci Nawjyższy udzielił, musisz je poświęcić ojczyźnie; to obowiązek każdego prawego człowieka. Może to pragnienie wiedzy pędzi cię w świat daleki, może poeta marzy o nieznanych stronach i pod obcem niebem idzie szukać natchnienia?

— Pani, wyjeżdżam ale nie dla tych powodów.

Młoda kobieta pochyliła głowę, aby ukryć nagłą bladość.

— Wiesz, że dla mnie już nie ma natchnienia, z myślą o tobie pożegnałem poezyę, sztukę i wszystkie święte marzenia młodości. Chciałem niegdyś pracować, miałem talent, serce, dziś wszystko to wymarło z utratą nadziei.

— Jerzy, zawołała, a jej śliczne oczy przyćmiły się łzami, powiedz czego chcesz odemnie?

— Nic, gdyż nic nie możesz...

Hrabina smutnie się zamyśliła.

— Nie mogę dłużej tak wyżyć, odjeżdżam, gdyż cię kocham Ludwiko, zawołał Jerzy gwałtownie. Umrzeć albo się oddalić — zapomnieć o tobie, — muszę jedno wybierać. Od dwóch lat cię kocham, od dwóch lat odpychasz mię. Obowiązek, wołasz, a ja się miotam i walczę, nie mogę być ci posłusznym, gdyby choć jedno słowo nadziei...

— Szalony! zawołała młoda kobieta, przybliżając się do niego, czyż możesz wymagać wyznania od kobiety, która nie jest wolną, którą wstrzymują święte obowiązki.

— Więc nawet na przyszłość lękasz się dać nadzieję?

— Przepaść niezgłębiona dzieli teraźniejszość od przyszłości; czyż kobieta uczciwa może powiedzieć: czekajmy śmierci, nie byłożby to jej wyzwanie?

— Przebacz mi Ludwiko, tyś zacna i święta, a ja cię nie rozumiem, zawołał młody poeta, bo cię kocham miłością potężną i prawdziwą.

Nie wiesz, jak zrodziło się to uczucie, wypełniające teraz całą mą istotę; może myślisz że przypadkiem sprowadzony do salonu hrabiny de l'Ourmont, stanąłem w rzędzie jej wielbicieli i śmiałem podnieść oczy na najpiękniejszą i najarystokratyczniejszą kobietę we Francyi. O nie pani, ja się wyróżniam z tego tłumu cię otaczającego, oni nie mieli sposobności poznać szlachetności twego serca i wielkości umysłu. Pani! ja ciebie kocham od owego wieczoru pierwszego przedstawienia mej sztuki, tego wieczoru, gdy łzy tak obficie spływały po twej twarzy, tego wieczoru, gdyś głównie swemi oklaskami przyczyniła się do mego zwycięztwa. Ujrzałem cię w połowie przedstawienia Ludwiko, a w całej sali od tej chwili był tylko jeden sędzia dla mnie. Sztuka mogłaby upaść, publiczność mogłaby ją wyświstać, wystarczyłby mi tylko twój oklask. Nigdy nie kochałem, żadna kobieta nie zawołała na biednego poetę „odwagi.“ Matka umarła, zwątpiwszy o mem powodzeniu, a przyjaciele, znużeni długiem oczekiwaniem, odbiegli z szyderczym lub litośnym uśmiechem. Ubóstwo nie pozwoliło mi wybrać towarzyszki, jednej z tych dziewic, co świecą niby zorza w chacie wieśniaka, a nawet w namiocie cygana; co stanowią zachwyt i radość serca młodzieńczego. Kobieta dla mnie — był to cień, któremu nie śmiałem nadać formy, było to marzenie roskosznie przesuwające się wśród długich nocy bezsennych, marzenie nigdy nie urzeczywistnione.

Ujrzałem cię pani cudownie piękną, idealny typ wszystkich snów poety, ujrzałem cię płaczącą i uśmiechającą się wraz ze mną, biorącą udział w radościach i cierpieniach mego serca; gdym tworzył to dzieło — byłem

wynagrodzony za długie lata pracy, nędzy i rozpaczy. Cichy jęk mego serca zrozumiała kobieta, której przysiągłem poświęcić całe swe życie.

Kiedy wywołany przez tę publiczność, zarzucony byłem kwiatami, oczy me szukały tylko jednego bukietu. Sławę, talent, wszystko bym oddał za jeden uśmiech kobiety ukochanej, za jedno słowo zachęty.

— I miałeś odwagę tak długo milczeć?

— Gdy zostałem wprowadzony do twego domu, gdy poznałem cię w otoczeniu rodzinnem, przy boku tego zacnego starca, smętną i poważną, miłość ma wzrosła, długo milczałem, lecz silniejsze uczucie złamało wolę.

Młoda kobieta ścisnęła serdecznie rękę Jerzego i smutnie rzekła:

— Ja ciebie jeszcze dawniej kocham.

Głos jej dźwięczny odbił się w uszach młodego poety niby hymn anielski, oparł się o krzesło aby nie upaść, bo szczęście upajało go.

— Był to wieczór zimowy, wychodziłeś z teatru na ulicy Richelieu, żebraczka wyciągnęła rękę prosząc o jałmużnę...

I młoda kobieta zamilkła ocierając łzę.

— Och pamiętam, zawołał Jerzy, pamiętam ten wieczór zimowy i to straszne upokorzenie, wtedy to rozpacznie nazwałem zbrodnią moje niedołęztwo i brak odwagi do wydobycia się z tego zaczarowanego koła nędzy. I pani tam byłaś?

— Byłam.

— I nie śmiałaś się z takiej nędzy?

— Czyż możesz pan to przypuścić.

— A jednak nędza w ogóle wzbudza śmiech wzgardliwy.

— To tylko w złych, niskich umysłach.

— Wielu jest takich—pani. Gdybyś wiedziała, ile ja wówczas pochwyciłem uśmiechów szyderskich, ile wykrzykników pogardliwych; jedni z przechodniów usuwali się aby nie zetknąć się z człowiekiem, nad którym ciąży zbrodnia nędzy, inni znów byliby mię radzi zepchnąć z chodnika. Świat nie rozumie nędzy; u niego nędza — to występek, a przytem jest to jedyna sposobność dla głupca pomszczenia się nad intelligentnym; tak jak pierwszy nie domyślił się serca zacnego pod wytartem ubraniem, tak drugi nazajutrz wykaże jego nicość pod najświetniejszym strojem.

— Ale zapominam się Ludwiko, nie przywódź mi nigdy na myśl tych pierwszych rozdziałów życia mego. Zawsze znajdziesz gorycz w głębi serca, co wiele cierpiało. Nauczyłem się nienawidzieć ludzi, zanim poznałem, iż winienem ich kochać, teraz serce moje więcej się ku nim skłania.

— I teraz właśnie, gdy duch miłości bratniej ożywia duszę poety, chcesz wszystko opuścić. O nie, nie pojedziesz Jerzy.

— Dla mego i twego spokoju winienem wyjechać.

— Zostań, ja chcę tego.

— Tak, dziś cię widzę i to mi wystarcza, lecz jutro gnany tęsknotą znów tu przybiegnę i nowa zacznie się walka.

— Otóż Jerzy powiem ci, co masz robić, a usłuchasz głosu przyjaciółki jeśli szczerze kochasz. Oddasz się pracy, zasłużysz na imię i wdzięczność rodaków, zapomnisz o mnie i więcej nie będziesz przychodził do naszego domu.

— Ale nie pytasz, czy mi siły wystarczą na zaparcie się tej miłości, co stanowi najszlachetniejszą cząstkę mego ducha?

— Wystarczą, bo jesteś szlachetny. Wyznałam ci Jerzy to, co winnam była zamilczeć, nie doprowadzaj mię, abym musiała rumienić się przed człowiekiem, z którym łączą mię najświętsze węzły i którego najwyżej na świecie szanuję. Niech miłość natchnie cię wiarą i ufnością, jak mię poddaniem się woli Najwyższego. Żegnam cię!

I hrabina de l'Ourmont raz jeszcze podała rękę młodemu człowiekowi; raz jeszcze przycisnął do ust tę rękę ukochanej; raz jeszcze spojrzał w jej przyćmione łzami oczy i blady ponury wyszedł chwiejnym krokiem.

Gdy się oddalił, hrabina padła na kanapę nie mogąc dłużej wstrzymać łez, co paliły oczy i ta mężna kobieta ugięła się pod ogromem boleści.

A z sali balowej dochodziły dźwięki ochoczej muzyki.

— A bal! zawołała hrabina.

I natychmiast otarła oczy, smutnem westchnieniem pożegnała marzenie o szczęściu i wyszła do sali, gdzie już zauważono nieobecność pani domu. Wdzięcznym ukłonem odpowiedziała na kilka powitań, a wzrokiem upatrywała kogoś w tłumie, lecz napróżno; — Jerzego Franchy już nie było.

IV.

Kilka miesięcy upłynęło, a Jerzy Franchy nie ukazywał się, ani w kółkach literackich, ani na wieczornych zebraniach, gdzie tak często spotykano go dawniej.

Przyjaciele młodego poety opowiadali, iż pracuje nad wielkiem dziełem, a talent jego w nowem ma zajaśnieć świetle.

I rzeczywiście jeden z teatrów bulwarowych ogłosił pięcioaktową sztukę Jerzego Franchy i tę sztukę miano grać nazajutrz. Młody autor nie zajmował się rozdawaniem ról i próbami, zawierzył zupełnie przyjacielowi, który godnie odpowiedział jego zaufaniu.

Tymczasem Jerzy zamykał się w swej pracowni i nic nie mogłoby go wydobyć z przeciągłego odrętwienia w jakiem się pogrążył. Zbudził go dopiero list dyrektora teatru, aby raczył być obecnym na ostatniej próbie, a ponieważ jeszcze wierzył w przyszłość, ubrał się i wyszedł.

Przechodząc przez bulwary ujrzał tłumy ludu zbierające się przed kościołem św. Magdaleny, oddziały wojska i cały szereg żałobnych powozów.

Przyszła mu myśl wejść do kościoła.

W pośrodku nawy wznosił się olbrzymi katafalk pokryty czarnem suknem, a na nim wsparta metalowa trumna. Na aksamitnej poduszce, haftowanej złotem, złożono szpadę z bogatą rękojeścią, szlify generalskie i krzyż legii honorowej.

Kościół cały wybity czarno, mnóstwo jarzącego światła, żałobny śpiew księży i poważne dźwięki organów, smutne twarze kilku marsowych wojaków, krewni w ciężkiej żałobie; wszystko to tworzyło obraz wzruszający.

— Co to za oficera straciliśmy? zawołał Jerzy.

— Generała de l'Ourmont, odpowiedziano.

Jerzy wyszedł natychmiast z kościoła i udał się do dyrektora teatru, aby zapobiedz przedstawieniu swej sztuki.

— Ależ to opóźnienie jest niemożebnem, odpowiedział dyrektor.

Pożegnawszy go co prędzej, Jerzy udał się do artystki występującej w głównej roli.

W dwie godziny dyrektor teatru otrzymał następujący liścik:

„Panie, doktor zakazał mi występować w tym tygodniu, piersi mam osłabione i męczę się bardzo; zastraszył, iż nieposłuszeństwo w tym względzie może spowodować mą zgubę. Opóźnij pan przedstawienie naszego dramatu, a po tygodniowym wypoczynku znów zacznę pracować.“

Sztuka, opóźniona przez nagłe zasłabnięcie głównej artystki, była grana w następnym tygodniu z ogromnem powodzeniem, a Jerzy Franchy tegoż dnia odebrał te słów kilka od hrabiny de l'Ourmont.

„Nie myliłam się, pisała, domyślając się, że ty panie pracowałeś nad opóźnieniem twej sztuki. Nie chciałeś tryumfu i zwycięztwa w dniu mej wielkiej boleści.“

Jerzy! jednak szczęście dla nas już nigdy nie zaświeci. Smutne przeczucie mie natchnęło gdym mówiła: „przepaść dzieli teraźniejszość od przyszłości.“ Mąż mój umarł, a ja należę do niego i po za grobem. Zapomnij o mnie Jerzy, pracuj, ożeń się, wsławiaj swe imię, bądź szczęśliwy, ja pozostanę samotną, a jedyną mą towarzyszką łza i tęsknota. Żegnam cię Jerzy, w świecie duchów złączymy się kiedyś.“

„Ludwika hrabina de l'Ourmont.“

V.

Dwa lata upłynęło, a imię Jerzego Franchy nie ukazało się na żadnem ogłoszeniu teatralnem, ani w żadnym dzienniku lub piśmie peryodycznem. W świecie literackim mówiono o nim, jako o człowieku wielkich nadziei i zdolności, które zły żywioł przysłonił i już nie wierzono w przyszłość młodego poety. Tłum, co uważa ciemność za jedno z miernością, nie znał zupełnie tego nazwiska. Najserdeczniejsi towarzysze Jerzego opuścili go, może też on pierwszy zerwał z nimi, dość że już nie widywał dawnych przyjaciół. Zajmował małe mieszkanko na ulicy Notre-Dame-de-Lorette, ale rzadko w nim bywał, dnie całe przesiadując w kawiarniach w najniższem towarzystwie. Już nie pracował, a pieniądze zebrane z dawnych czasów rozrzucał szalenie na wszystkie strony.

— Cóż chcecie? odpowiadał kilku przyjaciołom, chcącym go sprowadzić na dobrą drogę, mam spleen, trzeba z nim walczyć i wykorzenić złe w samym zarodzie. Leczę się z śmiertelnej nudy.

W kawiarni, na ulicy, w domu widywano zawsze Jerzego w towarzystwie młodej kobiety, jednej z tych istot najniebezpieczniejszego rodzaju. Jerzy wprawdzie wyśmiewał się z niej,

żartował, nazywał Myszką, lecz nie mógł się obejść bez niej. Byłoby to prawdziwą zniewagą dla niego powiedzieć, iż ją kochał, nie, ale u ludzi słabego charakteru przyzwyczajenie staje się drugą naturą.

I w takich to towarzystwach młody człowiek zniżał się coraz więcej, niepodobna było mu mówić o literaturze, poezyi, sztuce; śmiałby się, gdyby usłyszał, że kiedyś był sławnym, że liczono na przyszłość jego geniuszu. Umysł jego jeszcze świetniał, ale skierowywał wszystkie zdolności na szyderskie dowcipy i żarty, nikt z nim nie potrafiłby się rozmówić poważnie.

Zresztą Jerzy mówił bardzo mało, rozprawiał jeszcze mniej, słowem z dziwnym wstrętem odpychał wszelką polemikę. Nigdy nie bywał w teatrze lub w księgarni. Grał, pił i palił po całych nocach, a Myszka siedząc naprzeciw dolewała mu i przyśpiewywała, patrząc w oczy i uśmiechając się zalotnie. Jerzy już pijał wódkę, pierwsze szklanki z wodą, a gdy go rozgrzała, pił czystą odrzucając wszystkie inne napoje.

Zdrowie młodego człowieka wiele ucierpiało, pewnego poranku chciał wstać, lecz nie mógł się podnieść. Przywołany doktor zalecił dyetę, poleżeć w łóżku i spokój. Nazajutrz Jerzy, czując się lepiej podniósł bunt przeciw nauce i mędrcom medycyny, podniósł się, receptą doktorską zapalił fajkę, ziółka wrzucił w ogień, a na wieczór zaprosił Myszkę i kilku towarzyszy, aby wynagrodzić dzień przymusowego wypoczynku. Całe zebranie było nadzwyczaj ożywione, wódka, poncz, wino, płynęły obficie, a Jerzy leżał wyciągnięty na łóżku, obok niego siedziała Myszka z cygarem w ustach, nucąc ochrypłym głosem jakieś bachanckie piosenki.

W tem zapukano lekko do drzwi.

— Otwieraj! wołała Myszka tupając nogami, to pewnie Franciszek idzie.

Drzwi otworzono i weszła młoda kobieta w czerni z wytworną prostotą ubrana, postąpiła kilka kroków i podniosła czarną zasłonę.

— Przepraszam, rzekła rumieniąc się na widok podobnego towarzystwa, wskazano mi na tem piętrze mieszkanie pana Jerzego Franchy, zapewne się omyliłam.

— Jerzy Franchy! zawołał młody człowiek zrywając się z łóżka i stając przed młodą kobietą, a włosy rozczochrane, oczy błędne, twarz rozczerwieniona, czyniły go strasznym, Jerzy Franchy, to ja...

— Pan! zawołała nieznajoma, usuwając się ze zdziwieniem.

— Ja, powtórzył i chciał się bliżej przysunąć, lecz zawróciło mu się w głowie, zachwiał się i oparł na ramieniu Myszki, która przeczuwając w nieznajomej współzawodniczkę, podniosła się i miażdżyła ją gniewnym wzrokiem.

— Pan? powtórzyła raz jeszcze młoda kobieta i ująwszy rękę Jerzego, spojrzała mu w oczy. Jerzy, rzekła głosem głębokim i smutnym, który zmroził obecnych, Jerzy; to ty upadłeś tak nisko.

d. n.

JULIUSZ CEZAR
I JEGO DZIEŁO.

przez

W. Z.

tłomaczenie z rossyjskiego.

Daniel Ramée: Cesar le grand perturbateur romain. Paris 1870 Beulé. Le procés des Césars Auguste, sa famille et ses amis. Tibére et l'Heritage d'Auguste. Le sang de Germanicus. Titus et sa dynastie.

Od Tacyta do Gibbona przez XVIII wieków, historya z przerażeniem wskazywała na cesarstwo rzymskie, jako na kres upadku do jakiego dojść może potężny naród.

Zdawało się, że nie ma dość silnych sofizmatów na obronę ustroju, który wyssawszy powoli wszystkie soki żywotne z narodu, doprowadził go następnie do najpotworniejszego rozkładu; a jednak i taki ustrój znalazł panegirystów, którzy jako ideał stawiają Cezara i jego dzieło.

Główne argumenty dla tych panegirystów są: po pierwsze, że Cezar był wielkiem wodzem, a po drugie, że ocalił Rzym od zguby, którą zagrażały rozterki wewnętrzne, i przez zaprowadzenie porządku utrzymał byt państwa jeszcze na 500 lat.

Co do pierwszego argumentu, nie warto się nad nim zatrzymywać. Przypuśćmy, że Cezar wymordował łupieżczemi legionami 1,192,000 ludzi, jak utrzymuje Pliniusz, robił niepotrzebne wyprawy do Brytanii i nad rodakami wygrywał bitwy krwawe; przypuśćmy, że nawet bez strasznych środków tępienia ludzi, jakie dzisiejszym dowódcom dała broń palna, Cezar potrafił staczać walki, w których z jednej strony poległo 30,000 (w armii rzeczypospolitej pod Mundum), co nawet Napoleonowi wydałoby się bardzo poważną cyfrą; alež takie wielkie dzieła nie dają jeszcze podstawy do zbudowania chwały człowieka, który zostawił po sobie wspomnienie największego tępiciela rodu ludzkiego.

Co do drugiego argumentu, ten należy rozebrać z uwagą i szczegółowo.

Mówią i dowodzą, że Rzym za czasów Cezara był nad brzegiem przepaści.

„Ustrój społeczeństwa, wewnętrzne warunki bytu ekonomicznego i państwowego, w tym czasie tak się zachwiały, że forma republikańska rządu i dawne urządzenia stały się zupełnie niemożliwemi i dla tego straciły całą żywotność, przestając naprawdę rządzić narodem. Z zamarciem dawnych urządzeń społeczeństwo popadło w anarchią, z której można jedynie było go wyprowadzić przez nadanie nowych form; tą zaś nową formą był rząd despotyczny, któryby zwrócił energiczne siły narodu przeciwko zewnętrznym wrogom, wzmocnił porządek zachwiany i dał Rzymowi możność utrzymania bytu jeszcze na lat 500. Że tej formy rządu Rzym pragnął, że ta forma była ustanowiona nie w skutek pragnienia władzy przez Cezara, ale rzeczywiście odpowiadała potrzebom społeczeństwa rzymskiego, najlepiej dowodzi, że jeszcze na pół wieku przed Cezarem, Rzym ugiął się pod władzą Pompejusza, Sulli i Cynny.“

I oto cały zbiór dowodów na obronę i sławę Cezara i jego dzieła, którym za podstawę służy kilka faktów i teorya Panglossa, że wszystko co się stało, najlepiej się stało.

Stan rzeczy w Rzymie w epoce Cezara i przed nim jeszcze, był wcale niezadawalający. Główne nieszczęścia, które to sprawiły są następujące:

1. Niewola.

2. Nędza w massie narodu, rozwinięta do najwyższego stopnia i zjednoczenie wszystkich bogactw, a szczególniej własności ziemskiej w rękach mniejszości tak drobnej, że z 394,336 obywateli wykazanych do głosowania, podług rachunku trybuna Filipa, było wszystkiego 2,000 posiadaczy nieruchomości.

3. Nieprzyjazny stosunek miast Italii względem państwa, antagonizm wieczny pomiędzy Rzymem i podbitą Italią, który zaledwie nie doprowadził Rzymu do upadku za czasów Hannibala, a następnie zrodził niebezpieczną wojnę domową, którą Cezar widział będąc dzieckiem, a która właściwie była raczej buntem pozbawionych prawa obywateli, przeciwko uprzywilejowanej klasie; powstaniem zasady federalnej przeciw centralizacyi.

4. Straszliwe następstwa systematu zaborczego, z którego zrodził się despotyzm wojskowy, i następnie stał się wrogiem społecznego rozwoju państwa. Bez wątpienia każdy z tych objawów jest złem, wzajemnie zaś potęgują się jeszcze więcej. Naprzykład: gdyby nie nędza masy obywateli zaborczy system Rzymu, nigdy nie mógłby doprowadzić do opłakanych następstw, jakie zrodziły się w skutek uformowania stałego wojska.

Cokolwiekbądź było przyczyną upadku Rzymu, żaden z wyżej wskazanych powodów nie miał tej fatalnej siły, któraby zgubiła naród i zmusiła go do szukania ratunku w despotyzmie cezarowskim.

Niewola? ależ niewola pod postacią poddaństwa do niedawnych czasów egzystowała w Rossyi i Ameryce; a jednak oba te kraje usunęły ją z korzyścią dla siebie.

Są historycy do tego stopnia naśladujący Panglossa, że nadzwyczajnie cieszą się nawet z zawojowania Rzymu przez barbarzyńców, uważając, że to było niezbędne dla zniesienia niewolnictwa.

Dziwny sposób zapatrywania! Anglia oswobodziła niewolników w koloniach swoich na kilkadziesiąt lat, zanim Ameryka uwolniła Murzynów. Gdyby więc rząd angielski podbił Amerykę i oswobodził Murzynów, bez najmniejszej wątpliwości rozradowane Panglossy dowodziłyby, że dla zniesienia niewoli, trzeba było zawojować Amerykę. Gdyby za Napolenia I-go, lub kiedykolwiekindziej Rossya rozpadła się i podbitą została, Panglossy dowodziłyby, że bez tego poddaństwo nigdyby nie ustało. Zdarza się coś straszliwego, barbarzyńcy niszczą odwieczną cywilizacyę, w strasznej walce która trwa całe stulecia, zamienia kwitnącą okolicę w pustynię, wyradza taką nędzę, że współcześni widzą już w tem koniec świata, wszystko zaś kończy się moralną ciemnotą na całe lat tysiąc. Wyborne! woła Pangloss zacierając ręce, wszystkiego tego było trzeba, ażeby znieść niewolnictwo.

Panglossa nie zachwieje żadne dowodzenie, nawet i to, że barbarzyńcy ażeby zniszczyć

złe społeczne wytępili całe społeczeństwo, cały naród rzymski; nawet to, że barbarzyńcy zamiast niewoli stworzyli poddaństwo, które półtora tysiąca lat z całą pieczołowitością utrzymywali, dopóki nie wyrodziły się z nich nowe cywilizowane narody... Wszakże wolność jest wyrobem cywilizacyi, Rzymianie więc którzy przeszli połowę drogi wiodącej do cywilizacyi naszych czasów, mogli prędzej przyjść do wolności niż Hunny, Wandale, Gotty na pół dzicy. Naród nie może dojść jak tylko do tego ku czemu dąży, i o czem ma wyobrażenie.

W Rzymie zaś powstanie Spartakusa, ta rzymska puhaczyzna dowiodła, że niewolnicy doskonale rozumieli znaczenie wolności i pragnęli jej całą duszą. Na pozbawienie Rzymian osobistej i obywatelskiej wolności, na poddanie się pod jarzmo cezaryzmu, niewolnictwo nie miało żadnego wpływu; Cezarowie nie dali nic niewolnikom, a wojska takich despotów jak Tyberyusz i Neron zbierały się z ludzi wolnych, a więc do przewrotu dokonanego przez Cezara pierwszy z tych warunków niczem się nie przyczynił. Inaczej się rzecz miała z proletaryatem i w ogóle z całym społecznym ustrojem dawnego Rzymu.

One to najłatwiej tłómaczą i przewrót sam i drogę prowadzącą do niego. Wyżej wskazaliśmy stosunek, dowodzący, że właściciele składali $^1/_4$% ogólnej liczby obywateli, który to stosunek rzeczywiście dowodzi złego rozdziału ogólnego majątku. Całe okolice i kraje były własnością prywatnych osób i znaczne przestrzenie ziemi, nie były uprawiane na potrzebę ogółu lecz zamieniane na lasy, parki, ogrody lub łąki, stosownie do zachceń patrycyuszów, skutkiem czego Italia nie była w stanie wystarczyć na potrzeby swojej ludności i na wykarmienie Rzymu, przywożono chleb z za morza. Nędza głodnego ludu wzrastała, a wielkie własności wytępiły prawie zupełnie ludność rolniczą, *plebs rustica*. Mieszczaństwo było tem biedniejsze, że swobodny handel w skutek niewolnictwa zupełnie prawie nie istniał. Średnia klasa, to jest jeźdzcy *equites*, odpowiadająca później szlachcie, dorabiała się nie pracą, ale grabieżą prowincyi i okradaniem państwa za pomocą monopolów na budowle i odkup podatków.

Było to w samej rzeczy złe straszliwe, ale nie wyjątkowe i dla czegóż więc miało wpłynąć na zwalenie rzeczypospolitej zaprowadzenie cezaryzmu. Panglossy zapatrując się na fakt dokonany odpowiadają twierdząco, ale pobieżny nawet przegląd późniejszych wypadków przeczy im zupełnie i wykazuje bezsensowność podobnej odpowiedzi.

Położenie społeczeństwa gdzie właściciele nieruchomości stanowią $^1/_4$% ogólnej liczby, jest bardzo złe, ale nie różni się tak bardzo od stanu państw, w których jest 1,3% tych uprzywilejowanych a to jest cyfra wykazana w Prusach, pomimo całego rozwoju przemysłowego w naszej epoce.

Latifundia perdidere Italiam, wielkie własności ziemskie gubią Rzym, pisał jeszcze Pliniusz; ale wszakże Anglia ten sam objaw przedstawia co do podziału własności.

Czyż masa ludności rolniczej w Anglii, nie jest zgnieconą prawie pod ciężarem olbrzymich dóbr kilkuset lordów, którzy zamieniają swe grunta na parki, laski i łąki, choć jeszcze kanclerz Moore skarżył się o to w izbie. Czyż Anglia nie przywozi zboża? W któremże dziś państwie masy ludu nie cierpią nędzy? O odkupie, monopolach i tym podobnych nadużyciach, mówić nawet nie warto.

Są to tylko zewnętrzne objawy, upadające przy najpierwszem zetknięciu z cywilizacyą, jak naprzykład upadły w całej Europie w której w średnich wiekach egzystowały wszędzie bez wyjątku prawie. Czy jednak przyjdzie komu do głowy rozpaczać o przyszłości Prus i Anglii dla tego, że w nich źle rozdzielono własność ziemską; głosić upadek całej Europy, dla tego, że w niej proletaryat cierpi w skutek pauperyzmu. Są to klęski to prawda, ale załatwienie ich jest tylko kwestyą czasu. Nikt także nie ma racyi ubolewania nad zbytkiem i rozpustą narodów Europy, choć pod względem rozpusty nie ustępujemy Rzymianom, a co do zbytków, daleko po za sobą zostawiliśmy cezarowskie czasy.

A może rzymskie losy dla tego się spełniły w ten sposób, że społeczeństwo nie pojmowało tak jasno czego mu brakuje, jak my dziś pojmujemy.

Wspomniałem już o powstaniu Spartacusa, jako o protestacyi niewolników, ale czyż to już wszystko? W sto lat później za Tyberyusza niewolnicy znów powstali. Tacyt pisze: Rzym zadrżał na myśl o tem, że liczba niewolników tak olbrzymio wzrasta, liczba zaś wolnych ludzi tak szybko maleje." Nie tylko więc niewolnicy, ale nawet ich panowie widzieli złe i niemożliwość utrzymania się podobnego stanu rzeczy. Prawda, właściciele niewolników uważali, że zmiana stosunków będzie klęską i największem złem dla państwa, ale czy gdziekolwiek przy zniesieniu niewolnictwa, poddaństwa i pańszczyzny, właściciel mówili inaczej. Czyż nie kładli możliwych przeszkód reformie, wiedząc, że prędzej czy później ona spełnić się musi? Co do rozdziału bogactwa narodowego, Tacyt przytacza słowa Tyberyusza pisane do senatu. „Lepiej zostawić w pokoju wady zakorzenione i rozwijające się, aniżeli pokazać, że nie możemy załatwić się z niemi... Albowiem w samej rzeczy, czemu kres położyć mamy, a co przywrócić do dawnego stanu?"

Gdyby społeczeństwo tak myślało, to rzeczywiście można byłoby o niem zrozpaczyć, bo ażeby znać swoją niedolę, wszelkie zaś środki zaradcze uważać jako nieużyteczne, uważać się za tak zepsute, zgangrenowane, że nie warto nawet ratować, na to trzeba być już trupem godnym tylko zagrzebania. Ale to nie był sąd ogółu, tylko głos Tyberyusza, najwięcej rozkapryszonego tyrana, jakiego w całej historyi Rzymu widzimy!. W ustach Tyberyusza, zdanie podobne jako osobisty sposób widzenia rzeczy jest bardzo właściwem, nie może jednak charakteryzować całego społeczeństwa rzymskiego. Przeciwnie naród ten dążył do reform, jak tego dowodzą wielkie idee Grakchów, których nazwiska pozostały się w pamięci ludu jako synonimy szlachetnych dążeń do ekonomicznego przetworzenia społeczeństwa.

Idee te nie umarły, ale przeciwnie bezustannie wybuchały, w czasie wojen tryumviratu służąc za sprężynę moralną do ożywienia mass.

Nie można również dopatrzeć się braku tego dążenia pod względem politycznym. Ażeby więc poznać i przekonać się co spowodowało upadek Rzymu, musimy w ogólnych zarysach przedstawić wypadki, które zamiast doprowadzić Rzym do nowego życia na podstawie sprawiedliwych danych, popchnęły go do dyktatury i powolnego konania.

W życiu rzeczypospolitej kryzys zaczęła się od ruchów wywołanych przez Grakchów. Był to tak silny ruch i kwestya społeczna tak jasno była w nim postawioną, że nieudanie się i upadek Grakchów nie mogły wstrzymać biegu rzeczy, ani zmusić de zapomnienia i wyrzeczenia się na zawsze upragnionych reform. Sam zresztą ruch Grakchów wypłynął nie z ich osobistej działalności, nie z ich indywidualnego dążenia do władzy, ale z przyczyn opierających się na warunkach bytu ówczesnego świata, które stały się niemożliwemi, a więc i tryumf reakcyi nie mógł być stanowczym. Niepodobna więc obwiniać jak Ramée, bałwochwalca ideału staro-republikańskiego, Grakchów o to, że zgubili stare urządzenia rzymskie i tak zwaną „wolność."

Ocalić społeczeństwo ginące, a z nim wolność, można było tylko na drodze radykalnych reform w samych podstawach bytu.

Grakchowie zatem nie gubili, ale ratowali lud i wolność; które optymaci reakcyjni doprowadzili do upadku gubiąc Grakchów. Ręka w rękę z Kajem Grakchem walczącym o byt ekonomiczny działał Fulvius Flaccus, który bronił praw politycznych prowincyi przeciwko uprzywilejowanemu Rzymowi.

Walcząc przeciw najważniejszym dwu złom, które zgubiły następnie rzeczpospolitę, padli obadwa, ale działalność ich była zbawczą i niezbędną dla utrzymania społeczeństwa, podczas kiedy zwycięztwo reakcyi nie mogło nic utrzymać, jako w zasadzie już nie mające charakteru zachowawczego ale rozkładowy.

Już następne pokolenie w trzydzieści lat później powtórzyło walkę Flacca i Grakchów. Wojna związkowa skończyła się na tem, że cała Italia aż do Po, nabyła prawo obywatelskie i rzeczpospolita byłaby ocaloną, gdyby jednocześnie udała się i próba reformy społecznej podjęta przez Marka Druza. Ale i ten szlachetny reformator padł w walce i pytanie czy rozumne przetworzenie się społeczeństwa mogło było ocalić Rzym, pozostanie na zawsze nierozwiązanem.

Historyków zapatrywanie się na lud rzymski, co najmniej dziwnem się wydaje. Opierając się na pisarzach to jest ludziach partyi i arysto kratach, prawią o nieprawdopodobnem i i klasycznem zepsuciu ludu rzymskiego, potępiając go nawet za to, że poszedł w pomoc Maryuszowi i Cezarowi, że biegł po chleb i igrzyska. Ależ to był naród stojący zupełnie na równi z każdym innym, w podobnych warunkach społecznych będącym. Lud szuka gdzie lepiej, jak ryba gdzie głębiej. Każdy pójdzie za pierwszym lepszym ukazującym możliwość lepszej doli.

Gdyby Grakchom udało się, nie miałby już

powodu lud iść za Maryuszem; jak na odwrót, gdyby zgromadzenie narodowe nie doprowadziło narodu francuzkiego do celu, ten bez najmniejszej wątpliwości poszedłby za pierwszym lepszym zbrodniarzem, jak też później w samej rzeczy poszedł.

Lud więc jako jednostkę zawsze równą, możemy wyrzucić z rachunku. Maryusz zapalony awanturnik, karyerzysta mający na celu tylko własne dobro, człowiek zrodzony na herszta rozbójników, a przypadkiem zbawca Rzymu, został bóstwem i wodzem ludu dla tego tylko, że blaskiem oręża wsławił swoje plebejuszowskie urodzenie.

Opanowąwszy przy pomocy ludu Rzym, rozhulał się i dla ludu nic prawie nie zrobił i nareszcie zapił się, pozostawiając jednak po sobie, jako straszliwy spadek, przykład do czego może dojść intrygant łotr, wspierany przez lud; zostawił także synowca Juliusza Cezara.

Walka Maryusza z arystokracyą jest godną podziwu z powodu niedołęztwa i nędzy umysłowej w przeciwnych obozach.

Z jednej strony zwycięzcy plebeje korzystają z wolności o tyle tylko, że wprowadzają półśrodki: naprzykład nic nieznaczące rozszerzenie census i zmniejszenie długów o $^3/_4$, środek w zasadzie szalenie rewolucyjny, ale pod względem ekonomicznym żaden. Z drugiej strony optymaci zagrożeni przez despotyzm, ukazujący się im najprzód w osobie Maryusza, a potem pod postacią Cynny, który w skutek zbiegu okoliczności umiał przez cztery łata zatrzymać przy sobie władzę konsularną. Optymaci w obec tak groźnego dla siebie niebezpieczeństwa, potrafili się zdobyć jedynie na obronę starego i przeżytego porządku rzeczy.

Na chwilę nawet otrzymali górę, Cynna musiał uciekać z Rzymu, ale powody dla których Maryuszowcy chwycili władzę, nie ustały jeszcze, optymaci zaś nie uważali za potrzebne zrobić cokolwiek dla usunięcia przyczyny złego. Chwilowy więc tryumf doprowadził tylko do rzezi zbytecznej, bezowocnej i bezmyślnej.

Walcząc z obrońcami praw rolnych, optymaci zgubili reformatorów uczciwie przedstawiających społeczeństwu nowy porządek rzeczy; za to teraz mieli do czynienia z awanturnikami, chciwemi władzy. Wiemy już kto był Maryusz. Cynna zaś był daleko niebezpieczniejszym od niego awanturnikiem, bo miał rozum i wiedział do czego dąży, ale za to nie miał sumienia. Za pomocników służyli im ludzie na obraz Katyliny stworzeni, którzy zawsze w podobnych kryzysach ofiarują swoją pomoc łupiezcom na wielką skalę. Przedstawicielem ich był dezerter z obozu optymatów P. Sulpiciusz Ruffus, rzymski Morny, zrujnowany arystokrata, który dla poprawienia materyalnego bytu gotów zaprzedać każdemu kto lepiej zapłaci i działalność swoją i talent i wyrobione poprzednią pracą dobre imię.

Czyż ludzie z podobnemi osobistemi celikami, mogli służyć uczciwie zamiarom ludu.

A jednak lud nie mając lepszych do wyboru, oddał się im duszą i ciałem. Italia mogła się spodziewać od arystokracyi, tylko utraty praw zdobytych w czasie wojny związkowej. Z bohaterstwem więc godnem lepszej sprawy lud walczył przeciwko Sulli pod murami Rzymu, chociaż głównych wodzów partyi Maryuszowej już nie stało. Cynna tylko co przedtem zginął; śmierć zaś jego była zapowiedzią tego co oczekiwać będzie i uzurpatorów i społeczeństwo ujarzmione.

Maryusz stworzył w Rzymie armię stałą, która utraciła wszelką spólność z narodem; armię w cezarowskiem znaczeniu tego wyrazu.

Zaprawione do walki w wojnie z Mitrydatem, legiony Sulli, jeszcze raz przywróciły optymatów do władzy.

Ramée który żyjąc w czasach drugiego cesarstwa przesiąkł nienawiścią do cezaryzmu, tak dalece, że wszystkie klęski narodów przypisuje bezwarunkowo niesumienności uzurpatorów, jak gdyby społeczeństwo wytwarzające uzurpatora, nie było nic winne.

Zachwyca się więc Sullą, jako wrogiem tych uzurpatorów, nie zwracając jednak uwagi na to, że Sulla zrobił wszystko co mógł, a jednak nic nie przedsięwziął w celu zaklęcia niebezpieczeństwa. Ramée zachwyca się szlachetnością Sulli, który dobrowolnie złożył dyktaturę, jak burżuazyjni republikanie zachwycali się szlachetnością Cavagnaca, że nie skomponował jakiej rewolucyi ażeby dłużej władzę w ręku utrzymać. Sulli nie mógł kusić cezaryzm, bo nie znano jeszcze wtedy nawet imienia cezaryzmu i czas nie był po temu.

Potrzeba było przykładu jaki dał sam Sulla, 10 lat tryumwiratu, ażeby przygotować możliwość przewrotu, za który zresztą Cezar życiem przypłacił.

Jeżeli więc Cezarowi z taką trudnością przyszło zdobyć imperatorską władzę, jeżeli August nawet musiał strzedz się zewnętrznych oznak, to naturalnie Sulla ani marzyć mógł o czemś podobnem.

Zresztą czyż on, wróg ludu, zwycięzca partyi ludowej, mógł obecnie przez dążenie do najwyższej władzy poruszyć jeszcze przeciwko sobie i arystokracyą, a z nią utracić ostatnią podporę i runąć pod ciężarem ogólnej nienawiści.

Sulla nie mógł ugruntować despotyzmu, ale mógł utorować dlań drogę, i dyktaturą swoją w rzeczy samej ją utorował. Będąc sam uczciwym człowiekiem gardził podstępami i fałszem, to też stanąwszy jako zwycięzca na czele legionów pod Rzymu bramami, otwarcie zaproponował utworzenie dyktatury beztermінowej, siebie zaś zaofiarował na dyktatora.

Ażeby ocalić społeczeństwo Sulla powinien był użyć swojej dyktatury, do przetworzenia podstaw na których wolność spocząć miała, stojąc na wysokości zadania, powinien był zobaczyć co trzeba ocalać a co niszczyć należało, a byłby się przekonał, że Rzym pragnął wolności, ale nie wyzyskiwania; pokoju społecznego nie zaś wiecznego antagonizmu; prawidłowych zasad państwowych ale nie despotyzmu militarnego. d. c. n.

ŚLADY ŻYCIA.

Tyle życia ile... w czynie.

XIV.

Podniesiona w ostatnich czasach sprawa założenia kasy emerytalnej lub stowarzyszenia wzajemnej pomocy dla techników, jest tak naglącą, że postanowiliśmy szerzej ją traktować, jako przedmiot ważny dla bardzo wielu. Zacznijmy jednak od wypowiedzenia co rozumiemy pod wyrazem technika. Otóż skutkiem niesłychanej masy robót które się otworzyły przez uwłaszczenie włościan, pp. komisarze mając polecenie daną liczbę wsi to jest po 8 na miesiąc sprawdzić, musieli bezwarunkowo przedstawić 8 tabel do komisyi. Jedni z pp. komisarzy poprzestawali na oznaczeniu przestrzeni gruntów włościańskich z 1846 roku podług wysiewu, inni żądali planów tylko dla osad podchodzących pod ukaz 1864, byli zaś i tacy którzy bezwarunkowo przy przedstawieniu tabell żądali planów i rejestrów pomiarowych dla całej przestrzeni osad i były powiaty gdzie w tych latach 15 jeometrów i tak zwanych jeometrów, jednocześnie pracowało. Z liczby tej drugą klasę miało 3, pierwszą 2, jeden miał pieczątkę do tuszu nieboszczyka brata i uchodził za niego przed obywatelami, jednemu ojciec stary jeometra pożyczył lakowej pieczęci, ośmiu zaś pracowało jako pomocnicy. Następnie każdy z tych pomocników dorobiwszy się narzędzi, zaczynał grać rolę jeometry i fuszerował na wielką skalę, robiąc za tańsze ceny roboty dla obywateli ziemskich, którzy z nałogu i finansowego położenia rzeczy muszą się starać o tanich robotników.

Trudno wypowiedzieć do jak krańcowych środków dochodziła konkurencya nieprawych synów łańcucha i busoli. O każdą robotę intrygi najrozmaitsze, plotki, solidarne obmawianie jeometry rządowego przed obywatelstwem, oto był arsenał z którego czerpano dla chleba. Nigdzie może walka o byt z taką zaciętością nie jest prowadzoną jak pomiędzy jeometrami. Przyczyną zaś tego jest przeludnienie dziś już nieproporcyonalne do ilości robót.

Z inżynierami rzecz się ma inaczej. Kiedy obywatele wiejscy przekonali się że jeśli kto ma 3-ch synów i 3 córki a 30 włók gruntu, to każdy z synów może z podziału dostać tylko 5 włók i z dostatniego ziemianina przejdzie na chudopachołka, zaczęto brać się do kształcenia przynajmniej jednego syna tak, ażeby mógł znaleść kawałek chleba i po za ojcowskim zagonem. Urzędów ubyło od lat kilkunastu, do rzemiosła jeszcze niedorośliśmy rozumem, pozostała więc technika i prawo. Że jednak po naukę prawa dosyć jest pojechać do Warszawy, a inżenieryi trzeba się uczyć za granicą, masa więc młodzieży szlacheckiej ruszyła na zachód, ażeby w Gand, Liége i Paryżu szukać nauki, głównie na wydziale dróg i mostów, zaniedbując mechanikę, górnictwo i chemię zupełnie prawie.

Napłynęła więc do kraju okrutna moc inżenierów drogowych, i dobrych inżenierów, rozsypując się po całem cesarstwie przy budowie licznych dróg żelaznych. Jednostronny kierunek w kształceniu się tej młodzieży, spowodował i tutaj przeludnienie tak wielkie, że dziś bardzo wielu musi długo czekać na posadę lub przyjmować miejsce nieodpowiednie zdolnościom. W skutek zwiększonego podażu pracy zmniejszyły się też i pensye do tego stopnia, że praktykowane obecnie, nie wyno-

szą połowy tego co płacono przy budowie drogi petersburskiej i innych.

Tak więc złote czasy dla techniki minęły, dziś trzeba ciężką pracą zdobywać kawałek chleba dla siebie i rodzin. Obecnie z powodu ogłoszonej separacyi gruntów włościańskich, znów powiększy się liczba robót, ale już tylko dla jeometrów klasy 2-giej, bo roboty innych nie mają znaczenia w obec nowo wydanych przepisów. Towarzystwo kredytowe przy oszacowaniu dóbr przyjmuje wyłącznie plany poświadczone przez przysięgłych, dla całej więc armii tak zwanych jeometrów prywatnych, o ile nie będzie mógł który z nich znaleść pomieszczenia jako pomocnik przy rządowym lub patentowanym jeometrze, przyszła potrzeba zmiany zajęcia na więcej procentujące.

Ogół zyska na tem niezmiernie, przestając być narażanym na płacenie za robotę która nie ma wartości technicznej, a w najszczęśliwszym razie, jeżeli jest dobrze wykończoną, to w obec sądów, władz włościańskich, towarzystwa kredytowego — nie ma powagi urzędowej.

Dziwnie zaś nieopatrzny to rodzaj ludzi ci technicy, przez najszczęśliwsze dla siebie czasy mało który zebrał jakikolwiek zapas na czarną godzinę, większość wydawała wszystko co zarobiła, a niekiedy nawet i więcej.

To też często się widzieć daje, że pozostała po bardzo wziętym jeometrze rodzina wpada w najzupełniejszy niedostatek. Z tego powodu niezbędność założenia kassy braterskiej czy stowarzyszenia emerytalnego uważamy jako jedną z najpilniejszych potrzeb dla znacznej części naszego społeczeństwa.

W celu wywołania o przedmiocie tym dyskussyi w przyszłym numerze zamieścimy projekt ustawy stowarzyszenia emerytalnego, opracowany przez jednego z techników miejscowych.

* * *

Ciekawą illustracyę do kandydatur na posady sędziów gminnych podaje „Gazeta Lubelska.“ Illustracya ta przedstawia się w sposób następujący: „Kandydat 1-y, szkołę elementarną bez odznaczenia się skończył, dopuszczał się malwersacyj biurowych lecz zręcznie, bo go nikt na gorącym uczynku nie mógł schwytać, bardzo też zręcznie podrabiał podpisy. Kandydat 2-i, popierany przez swą żonę, która gwałtem chce zostać panią sędziną, wyprasza się, bo leniwy i głupi, lecz żona—urodziwa, kaptuje głosy, płaci, fetuje. Kandydat 3-ci z profesyi gracz, po 500 i 1,000 rs. przegrywa lub wygrywa na jednem posiedzeniu, a jednak stałego dochodu ma tylko rs. 120 rocznie. Kandydat 4-y, Dr. Kand. 5-y, *ad hoc* właściciel 6 morg: gruntu. Kandydat 6-y, rolnik *simplex servus Dei* umiejący się tylko podpisać głoskami łokciowemi i po ołówku i wierzący, że każda grubo oprawna książka to „prawo!“ Fakt ten przedstawia się dość krotochwilnie, lecz.... niepocieszająco. Ponieważ listę kandydatów układają wójci wraz z sołtysami i takową komunikują naczelnikowi powiatu do przejrzenia i poczynienia poprawek a ten dopiero powraca ją do właściwych gmin celem dopełnienia wyborów,—na takie więc niewłaściwości w listach kandydatów jest rada bardzo prosta. Zanosić zażalenia na te niewłaściwości do naczelnika powiatu, który takowe odpowiednio spożytkuje.

* * *

„Kuryer Lubelski“ donosi o ciekawym figielku natury przywiezionym do Lublina przez pana Serafińskiego weterynarza gubernialnego. Jest nim jagnię o dwóch głowach, a co więcej *psich*, z uszami porośniętemi kasztanowatym włosem. Korpus zaś cały pokryty jest mięką wełną. Bydlątko to które jest już wypchane, odesłane być ma do Warszawy w podarunku, zapewne, gabinetowi zoologicznemu.

CHANCELLOR.

NOTATKI PODRÓŻNEGO J. R. KAZALLON

przez

Juliusza Verne.

(Dalszy ciąg).

— Siadaj stary, woła na niego kapitan.

A czy to już okręt tonie, zapytał uparciuch z najzimniejszą krwią w świecie.

— Przecie widzisz że lada chwila pójdzie do głębi.

— W takim razie trzeba już wysiąść, odrzekł O'Ready któremu woda do pasa już dostawała i kiwając smutnie głową wskoczył na tratwę. Robert Kurtis chwilę jeszcze pozostał na bocianiem gnieździe spoglądając na około, potem ostatni porzucił swój statek. Był już na to wielki czas. Odcięto linę i tratwa zwolna się oddaliła. Wszyscy spoglądaliśmy w stronę tonącego okrętu. Najprzód zniknął szczyt przedniego masztu, potem wierzchołek wielkiego masztu ukrył się pod wodę i wkrótce nic nie pozostało z pięknego Chancellora.

XXX.

7 grudnia (ciąg dalszy). Nowy statek nas unosi; zatonąć on nie może, bo sztuki drzewa z których jest zbudowany zawsze wypłyną na wierzch, ale czy się nie rozpadnie gubiąc rozbitków schronionych na nim.

Z dwudziestu ośmiu osób które zabrał Chancellor z Charleston, dziesięć już zginęło.

Jest nas ośmnaście na tratwie tworzącej nieforemny czworobok, mający około czterdziestu stóp długości na 20 szerokości.

Oto nazwiska wszystkich co ocaleli z Chancellora.

PP. Letourneur, Falsten, miss Herbey, i ja z podróżnych; kapitan Robert Kurtis, porucznik Walter, bosman, gospodarz statku Hobbart, kucharz Iynxtrop, cieśla Daulas; siedmiu majtków Austin, Owen, Wilson, O' Ready, Burke Sandon i Flaypol.

Czy niebo już dość nas doświadczyło, odkąd wypłynęliśmy — to jest przez 62 dni, czy ręka Pańska dość już zaciężyła nad nami.

Najwięcej nawet mający ufności nie mogą spodziewać się. Dajmy jednak pokój przyszłości i zajmując się tylko obecną chwilą, skreślimy dalej wypadki tego dramatu, w miarę jak się będą nasuwać. Znamy już podróżnych poznajmy teraz jakie pozostały środki zachowania życia.

Robert Kurtis zdołał wyładować tylko to z żywności co zostało uratowane z spiżarni, której większą część zniszczyła woda pochłaniając Chancellora.

Żywności tej jest bardzo mało, jeżeli zwrócimy uwagę na to że jest nas 18 osób i może długi czas upłynie zanim dostaniemy się do lądu.

Beczułka sucharów, beczułka mięsa, baryłka wódki i dwie beczki wody, oto wszystko co zdołano ocalić.

Od pierwszego więc dnia będą wydawane zmniejszone porcye. Ubrania żadnego nie mamy oprócz na sobie. Kilka żagli posłuży nam za przykrycie i schronienie.

Narządzia cieśli Daulasa, sextant, mappa scyzoryki, romdelek, blaszany kubek, z którymi O'Ready, ani na chwilę nie rozstał się: otoż i wszystko co nam pozostało.

Wszystkie skrzynie złożone na pokładzie i przeznaczone do złożenia na pierwszej tratwie, spłynęły podczas zanurzenia się okrętu, później zaś nie było już środka dostać się do wnętrza statku.

Tak się przedstawia nasze położenie. Jest ono ciężkie, ale nie rozpaczliwe. Na nieszczęście obawiam się czy nie zabraknie nam energii moralnej, jednocześnie z energią fizyczną.

Zresztą jest wielu pomiędzy nami, posiadających złe skłonności, których trudno będzie opanować.

XXXI.

Dalszy ciąg 7 grudnia. Pierwszego dnia nic się nie przytrafiło. Dziś około ósmej rano, kapitan Kurtis zawołał pasażerów i załogę.

Moi panowie, rzekł, proszę dobrze uważać na to co powiem. Na tej tratwie wydaję rozkazy, tak samo jak na pokładzie Chancellora. Liczę więc że będą one wysłuchane przez każdego z was. Myślmy tylko o w ogólnym ratunku, trzymajmy się, a Bóg nam dopomoże.

Słowa te były dobrze przyjęte przez wszystkich.

Wietrzyk powiewający w tej chwili, którego kierunek kapitan oznaczył za pomocą busoli, pociąga od północy.

Jest to bardzo szczęśliwa dla nas okoliczność. Trzeba z niej spiesznie korzystać, i śpieszyć ku lądowi Ameryki.

Daulas ustawił maszt, na podstawie poprzednio już przygotowanej i przymocował go dwoma podporami mocno przytwierdzonemi.

Żagle rozciągnięto, przybito, opatrzono linami i statek zaczął się szybko posuwać gnany siłą wiatru.

Zaledwie spełniono zadanie, cieśla wziął się do urządzenia steru, przy pomocy którego można byłoby utrzymać kierunek żądany. Kurtis i Falsten udzielili mu rad swoich. Po dwugodzinnej pracy umieszczono z tyłu tratwy coś w rodzaju rudla, bardzo podobnego do używanych przez Malajczyków. W czasie tej roboty Kurtis zrobił obserwacye niezbędne dla dokładnego oznaczenia szerokości i długości jeograficznej. O samem południu oznaczył wysokość słońca. Otrzymany punkt wskazał

15° 7, szerokości północnej.

49° 35, długości zachodniej względnie do Grenwich.

Punkt ten oznaczony na planie wskazał że jesteśmy odlegli o 650 mil na północo-wschód od Paramaribo, to jest od części najwięcej zbliżonej do kontynentu amerykańskiego, która stanowi wybrzeże Gujanny holenderskiej.

Nawet przy pomocy sprzyjającego wiatru nie możemy się spodziewać więcej upłynąć dziennie nad 10 do 12 mil na tak niedoskonałym przyrządzie jakim jest tratwa, która pod wiatr wcale pływać nie może. Tak więc podróż nasza przy najszczęśliwszych okolicznościach wymaga dwóch miesięcy czasu, wyjąwszy przypadku, bardzo mało prawdopodobnego, gdybyśmy napotkali okręt, albowiem Atlantyk jest daleko rzadziej odwiedzany z tej strony aniżeli z północy lub z południa. Oprócz tego jeśli wiatr się zmieni i popchnie nas na wschód, to już nie dwa miesiące, ale cztery lub sześć nim przybijemy do brzegu, a żywności zabraknie nam przed końcem trzeciego! Roztropność nakazuje nam spożywać tylko tyle, ile potrzeba do utrzymania życia. Kapitan Kurtis prosił nas o radę w tym względzie, wszyscy byliśmy jego zdania. Racye będą podzielone pomiędzy wszystkich bez różnicy, ażeby głód i pragnienie w połowie były zaspokojone. Kierowanie statkiem nie wymaga zbyt wielkich sił fizycznych. Co do wódki, będzie rozdzielana z największą oszczędnością bo mamy jej wszystkiego 6 kwart, nikomu nie wolno jest dotknąć baryłki bez pozwolenia kapitana. Codzień mamy dostawać po dziesięć łutów mięsa i dziesięć łutów sucharów na osobę. Jest to bardzo mało, jednak zważając na to że nas jest 18 osób do żywienia, potrzeba około 6 funtów dziennie t. j. na 3 miesiące blisko 600 funtów. Cały nasz zapas zaledwie dochodzi do tej cyfry, więcej zatem dostawać nie możemy. Wody także mamy około 150 garncy, każdy więc dostanie po pół kwarty, co wystarczy także na 3 miesiące. Rozdziału żywności będzie dokonywać co dzień bosman około 10-tej godziny rano. Każdy dostanie swoję całodzienną racyę mięsa i sucharów, którą zje kiedy i jak mu się podoba. Woda zaś dla braku naczyń będzie rozdawaną dwa razy dziennie i którą każdy będzie musiał zaraz wypić. Mamy oprócz tego jeszcze dwa prawdopodobieństwa powiększenia zapasów żywności: połów ryb i deszcz. Rozstawiono więc próżne baryłki ażeby łapać wodę. Co do wędek te już majtkowie zaczęli przyrządzać.

Taki jest plan naszego postępowania, od którego nie mamy zamiaru odstąpić ani na krok, uważając go jako jedyny środek uchronienia się od głodowej śmierci. Zbyt wiele już mamy przykładów uczących nas, że powinniśmy wszystko przewidywać; zresztą taki brak pierwszych potrzeb dowodzi, że los nas ciągle prześladuje.

XXXII.

Od 8 do 17 grudnia. Wieczorem każdy z nas przykrył się żaglem. Zmęczony tyloma godzinami spędzonemi na maszcie, spałem twardo przez długi czas. Tratwa stosunkowo lekko wyładowana unosi się z łatwością na fali. Morze spokojne nie zalewa nas bałwanami, na nieszczęście jednak fala się zmniejsza dla tego że wiatr ustaje, tak, że obudziwszy się rano byłem zmuszony zanotować w swoim dzienniku: Cisza na morzu. Kiedy dzień już zabłysnął nic nowego nie miałem do zaznaczenia. Panowie Letourneur doskonale spali całą noc; Uścisnęliśmy się z nim za ręce. Panna Herbey od dawna pierwszy raz spokojnie spoczywała; twarz jej straciwszy wyraz zmęczenia, zyskała wiele na właściwym sobie uroku. Jesteśmy poniżej jedenastego równoleżnika. Słońce błyszczy w całym blasku na niebie, ale za to upał okropny. Powietrze jest zmieszane z parą unoszącą się nad morzem. Żagle zwieszone, niekiedy tylko nadymają się pod wpływem słabego wietrzyku. Kurtis i bosman po pewnych znakach dostrzegalnych tylko dla marynarzy, poznali że prąd unosi nas lekko trzy mile na godzinę ku zachodowi. Byłaby to nadzwyczaj szczęśliwa okoliczność, mogąca wpłynąć na skrócenie naszej żeglugi. Oby więc kapitan i bosman nie mylili się, tem bardziej że przy tak silnym upale małe racye wody zaledwie są w stanie zaspokoić pragnienie. Pomimo to od czasu porzucenia Chancellora a właściwie mówiąc bocianich gniazd na jego masztach, położenie nasze rzeczywiście się poprawiło; Chancellor w każdej chwili mógł zatonąć do reszty, tutaj zaś nie potrzebujemy się tego lękać. To też i zdrowie wszystkich znacznie się poprawiło. W dzień przechadzamy się, rozmawiamy, spieramy się nawet, patrząc na morze. W nocy śpiemy przykryci żaglami. Wszystko nas obecnie zajmuje, szczególniej zaś łowienie ryb na wędkę.

— Panie Kazallon, rzekł do mnie Andrzej po kilkodniowym pobycie na nowym statku, zdaje mi się że znów wróciliśmy do tych dni pełnych spokoju, spędzanych na skale Ham-Rock.

— Masz racyę mój Andrzeju.

— Jednak dodałbym że tratwa ma znakomitą przewagę nad skałą, mianowicie że postępuje ciągle.

— Dopóki wiatr sprzyja mój Andrzeju, przewaga jest rzeczywiście po stronie tratwy ale niechże się zmieni.

— Eh, panie Kazallon, miejmy nadzieję, nie upadajmy na duchu.

— Otóż wszyscy łudzimy się tą nadzieją, tak, zdaje się żeśmy już przebyli wszelkie próby. W przyjaznych okolicznościach znajdując się choć chwilowo odzyskuję spokój i zaufanie w lepszą przyszłość.

Nie wiem co się dzieje w duszy Kurtisa, nawet nie wiem czy podziela nasz spokój. Najczęściej trzyma się na uboczu. Ten człowiek czuje cały ogrom ciążącej na nim odpowiedzialności, jako dowódca powinien ocalić życie nie tylko sobie ale i każdemu z nas. Znając go, wiem że w ten sposób pojmuje swoje obowiązki.

Majtkowie po całych prawie dniach śpią na przodzie tratwy. W skutek rozkazu kapitana, na tyle statku, pozostawionym dla pasażerów, rozpięto namiot chroniący nas od słońca. Stan zdrowia zadawalniający, tylko porucznik Walter nie może odzyskać sił straconych. Starania nasze nic nie pomagają, i biedak gaśnie co chwila.

Nigdy nie mogłem lepiej ocenić Andrzeja Letourneur. Ten miły chłopiec jest duszą naszego towarzystwa; posiada dowcip oryginalny, nowe poglądy na świat, i niespodziane zwroty ożywiające rozmowę, która rzeczywiście nie tylko nas bawi, ale i uczy. Chorowita jego twarz ożywia się jak tylko zaczyna mówić. Ojciec połyka jego słowa, niekiedy bierze go za rękę i trzyma w ten sposób po całych godzinach.

Panna Herbey niekiedy przyjmuje udział w rozmowie, zachowując jednak pewną ostrożność. Każdy z nas stara się ażeby zapomniała o stracie tych, którzy nią się mieli opiekować. W panu Letourneur znalazła przyjaciela na którego może liczyć, jak na ojca, i ośmielona wiekiem—mówi do niego z całą szczerością. Opowiedziała mu swoje życie pełne odwagi i poświęcenia, jak zwykle los biednych sierot. Od dwóch lat była w domu państwa Kear, teraz zaś pozostała bez środków na dziś, bez majątku na przyszłość, pełna wiary jednak i gotowa na wszelkiego rodzaju próby.

Panna Herbey w skutek dzielnego charakteru, jaki energicznie w niej się przejawia, nakazuje dla siebie szacunek, tak że dotąd pomimo całego nieokrzesania ludzi z załogi, najmniejszym gestem, spojrzeniem nawet nikt nie śmiał jej obrazić.

12, 13, i 14 grudnia nie sprowadziły żadnej zmiany w naszem położeniu. Wiatr w nierównych odstępach popycha nas ku lądowi. W żegludze nic się nie przytrafiło. Na tratwie załoga nie ma nic do roboty. Sterem nawet nie potrzeba kierować. Statek płynie z wiatrem, nie zbaczając na strony. Kilku majtków dyżurnych na przodzie okrętu z największą uwagą dają baczenie na pogodę i na morze.

Już siedm dni upłynęło od porzucenia Chancellora. Przyzwyczailiśmy się do ilości wydawanego nam pożywienia. Szczególniej w tem co się tycze jedzenia. Siły nasze nie wyczerpują się przez ruch lub pracę, nie zużywając się więc nie mamy zarazem potrzeby odżywiać się obfitszym pokarmem.

Najwięcej dokucza nam brak wody, przy panujących obecnie upałach, ilość jej rzeczywiście jest zbyt małą.

15-go gromada ryb z rodzaju leszczów morskich zaroiła się około tratwy. Tak są żarłoczne że łowimy ich massę, chociaż nasze wędki składają się po prostu z postronka z zakrzywionym na końcu gwoździem, na który zamiast zanęty włożony kawałeczek suszonego mięsa. Był to prawdziwie cudowny połów i na pokładzie wyprawiono ucztę. Niektóre ryby usmażono na ruszcie, inne ugotowaliśmy w morskiej wodzie na ogniu rozpalonym na przodzie tratwy. Co za feta dla nas odwykłych od świeżego pokarmu! Przez dwa dni schwytano 200 funtów tych leszczów. Niech by teraz deszcz upadł, a wszystko będzie jak najlepiej.

Na nieszczęście nie długo cieszyliśmy się temi rybami. 17-go kilku rekinów należących do gatunku psów morskich, długości od 4 do 5-ciu metrów ukazało się na powierzchni morza.

Pletwy i wierzch ciała mają czarny, w plamy i poprzeczne pręgi białe. Obecność tych szkaradnych stworzeń zawsze niepokoi. Tratwa jest tak mało wzniesioną po nad poziom morza, ze znajdujemy się prawie na równej linii z niemi, tak że często uderzają gwałtownie ogonami o brzegi statku.

Majtkowie odpędzili nareszcie te potwory uderzając wiosłami w wodę, dziwiłbym się jednak dla czego nie miałyby ścigać nas jako przeznaczoną dla siebie ofiarę.... Nie lubię tych złowróżbnych towarzyszy...

XXXIII.

Od 18 do 20 grudnia. Czas się zmienił, wiatr silniejszy wieje, na co nie możemy się skarżyć, albowiem sprzyja nam widocznie; umocowano tylko silniej maszt, obawiając się ażeby zbyt silne parcie wiatru nie złamało go. Ciężki statek posuwa się nareszcie szybciej pozostawiając za sobą długi ślad na morzu. Po południu chmury pokryły niebo; upał zmniejszył się. Fala silniej bujała tratwą; kilka bałwanów upadło na nas. Na szczęście cieśla za pomocą kilku desek urządził pawęzie, chroniące nas lepiej od niepogody.

Przymocowano także podwójnemi linami, baryłki z żywnością i beczki z wodą. Burza mogłaby nam za jednym zamachem porwać całą żywność i doprowadzić do krańcu niedoli. Nie mogę o tem pomyśleć bez drżenia i obawy.

18-go majtkowie zebrali niewiele roślin morskich znanych pod imieniem Sargassów, bardzo podobnych do tych które napotkaliśmy pomiędzy Bermudami i Ham-Rock.

Zawierają one materyą białkowatą, bardzo przyjemnego smaku. Zachęciłem towarzyszów do zrywania i żucia tych wodorostów, przez co ochładzaliśmy sobie gardło i usta.

Przez cały dzień nic nowego nie przytrafiło się.

Zauważyłem tylko że kilku majtków, w ich liczbie Owen, Burke, Flaypol, Wilson i murzyn Inyxtrop, ciągle mają pomiędzy sobą narady, których przedmiotu nie mogę się domyśleć. Jak tylko który z podróżnych lub oficerów zbliża się ku nim, rozchodzą się udając obojętność. Robert Kurtis toż samo zauważył; te pokątne gawędki wcale mu się nie podobają, postanowiliśmy dawać więcej baczenia na tych ludzi. Owen i Inyxtrop są to łotry, których należy się obawiać, tem bardziej że mają wpływ na resztę załogi.

19-go upał nie do wytrzymania. Na niebie ani jednej chmureczki, wiatr ucichł najzupełniej i tratwa stanęła.

Kilku majtków kąpało się w morzu i wybornie im to posłużyło, odpędzając zupełnie pragnienie. Za wielkie jednak niebezpieczeństwo grozi, w skutek bliskiego sąsiedztwa z rekinami, żaden z nas więc nie kąpał się. Kto wie jednak czy później nie pójdziemy za przykładem majtków?

Patrząc na ten bezmiar Oceanu równego jak zwierciadło, na zwieszone żagle przy maszcie, zaczynam się doprawdy obawiać, ażeby ta cisza nie potrwała zbyt długo.

Zdrowie Waltera coraz więcej nas niepokoi. Jest napastowany przez silną febrę powracającą nieperyodycznie. Może być że siarczan chininy poradziłby tej chorobie, ale skądże go wziąć.

Oprócz tego ten biedny chłopiec cierpi na suchoty, które od pewnego czasu rozwinęły się w nim gwałtownie. Zewnętrzne oznaki tej choroby są tak na nieszczęście każdemu znane, że pomylić się trudno, trzebaby mieć wiele dobrej woli po temu. Kaszel suchy, oddech krótki, poty obfite, szczególniej nad ranem. Schudł, nos jego wyciągnął się, wypieki na twarzy silnie odbijają od ogólnej bladości całego ciała, policzki ma wpadnięte, usta zacisnięte, łącznią w oku błyszczącą i niebieskawą. W najlepszych więc warunkach żaden lekarz nic nie miałby tutaj do zrobienia w obec choroby która nigdy nie daruje życia nikomu.

20-go taż sama temperatura, taż sama nieruchomość tratwy. Palące promienie słońca przebijają się przez namiot, tak że niekiedy ciężko oddychamy osłabieni w skutek silnego upału.

Z jakąś niecierpliwością oczekujemy na chwilę w której bosman ma rozdawać szczupłą porcyjkę wody! Jakże łapczywie rzucamy się na te kilka kropli ogrzanego płynu! Kto nie wie co to jest pragnienie, nie będzie w stanie pojąć wiele cierpimy.

Walter więcej niż każdy z nas cierpi dla braku wody. Widziałem parę razy jak panna Herbey oddawała mu prawie całą swoję porcyę. Litościwa i miłosierna dziewczyna, robi co może, ażeby jeżeli nie zażegnać, to choć osłodzić cierpienia biednego towarzysza niedoli.

Dziś rano, rzekła do mnie:

— Panie Kazallon, ten nieszczęśliwy słabnie coraz więcej.

— Tak pani, ale nic nie możemy mu pomódz.

— Ciszej pan mów, mógłby nas usłyszeć.

Potem wsparłszy na ręku głowę siadła zadumana na końcu tratwy.

Dzisiaj miał miejsce niemiły wypadek, ale wart zanotowania. Około pierwszej, wyżej wymienieni majtkowie mieli silną dysputę. Ciche wprawdzie, ale ożywione ich gesta wskazywały żywe zainteresowanie się przedmiotem rozmowy, w skutek której Owen poszedł ku tyłowi statku, na część tratwy oddzieloną dla pasażerów.

— Owen gdzie idziesz? zapytał go bosman.

— Gdzie mi się podoba, odpowiedział zuchwale majtek. Usłyszawszy taką hardą odpowiedź bosman zerwał się z miejsca, ale przed nim jeszcze Kurtis zastąpił drogę Owenowi. Majtek wytrzymał wzrok kapitana i rzekł śmiało:

— Panie kapitanie, mam coś panu powiedzieć od moich kolegów.

— Mów!

— Co się tyczy wódki, tej małej baryłeczki... czy ją chowają dla oficerów, czy dla świń morskich?

— Cóż więcej?

— Żądamy ażebyśmy codzień dostawali porcyę jak zazwyczaj.

— Nie!

— Jak pan mówi?

— Mówię że nie.

Majtek popatrzył na Kurtisa i uśmiech złośliwy przemknął po jego twarzy. Chwilę zawahał się jakby nie wiedząc czy ma nalegać lub nie, ale wstrzymał się i odszedł do towarzyszów powtarzając im po cichu rezultat rozmowy.

Przyszłość nam pokaże czy Kurtis dobrze zrobił odmawiając tak stanowczo? Kiedy zacząłem z nim o tem mówić, rzekł:

— Wódki im dać! zawołał... wolę ją wylać w morze.

XXXIV.

21 grudnia. Cały ten wypadek pozostał bez skutku, przynajmniej na dziś. W ciągu kilku godzin połowu, ryby znów się ukazały i nałapaliśmy ich bardzo wiele. Napakowano niemi próżną baryłkę, i ten przybytek żywności pozwala nam mieć nadzieję że przynajmniej głód nam nie dokuczy.

Wieczór nadszedł, nie przynosząc nam chłodu, do którego przywykliśmy. Zwykle noce pod zwrotnikami są chłodne, dzisiejsza jednak obiecywała być zachwycającą.

Massa pary wodnej unosi się po nad falami.

O wpół do pierwszej będzie nów. Ciemność więc jest głęboka, aż do chwili kiedy oślepiające błyskawice nagle oświeciły niebo. Te niezmiernej wielkości wyładowania elektryczne, bez określonej formy, zalewają obszerne przestrzenie potokami światła. Grzmotu ani słychać, do tego stopnia że cisza podobna w powietrzu, strachem nas przejmuje.

Dwie godziny prawie, spragnieni ożywczego wiatru, panna Herbey, Andrzej i ja przypatrywaliśmy się tym zapowiedziom burzy, w których natura zdawała się probować sił swoich, i zapomnieliśmy o obecnej chwili, uwielbiając ten wspaniały obraz walki elektrycznych płynów. Zdawało się że chmury tworzą jakby fortecę zionącą falami ognia. Najdziksze dusze muszą odczuwać te wielkie obrazy, tak że widziałem majtków z rozkoszą spoglądających na ten pożar obłoków. Może być, że majtkowie niespokojnie patrzą na ten zamęt będący zwiastunem walki żywiołów.

W samej rzeczy, cóżby zrobiło się z naszą tratwą, wystawioną na wściekłość chmur i oceanu.

Aż do północy siedzieliśmy na tyle statku. Te błyski promienne których białość odbija się tem silniej na tle czarnej nocy, rozlewają na około blade światło, podobne do grobowego ognia, do palącego się spirytusu, w którym rozpuszczono sól.

— Czy panie się boi burzy? panno Herbey, zapytał Andrzej.

— Nie panie, właściwiej mówiąc jestem pod wpływem uczucia pełnego uszanowania, czci nawet. Czyż nie jesteśmy w tej chwili świadkami, najpiękniejszego zjawiska natury?

— Tak pani, szczególniej kiedy zahuczy piorun. Czy można kiedy w życiu usłyszeć cóś więcej wspaniałego? Coż znaczy huk artyleryi suchy i bez odgłosu w porównaniu z tym trzaskiem przeciągłym i majestatycznym. Grzmot zapełnia duszę, jest to raczej ton, aniżeli odgłos, ton rozlewający się w fermatę jak nuty w głosie śpiewaka. I jeżeli mam szczerze powiedzieć, to nigdy śpiew artysty nie wzruszył mnie do tego stopnia, jak to potrafi zrobić wielki i niewypowiedziany głos natury.

— Basso profondo, przerwałem śmiejąc się.

— Naturalnie, odpowiedział Andrzej, i z przyjemnością bym posłuchał, bo te błyskawice zaczynają mnie nużyć jednostajnością swoją.

— Czy naprawdę tak myślisz Andrzeju?

Wytrzymaj burzę jeżeli nadejdzie, ale nigdy jej nie przywołuj.

— Jak to! burza to wiatr, którego nam potrzeba.

— I woda! której tak spragnieni jesteśmy, dodała panna Herbey.

Można byłoby wiele odpowiedzieć tym młodym ludziom, ale nie chcę swoją prozą zatruwać im poetycznych uniesień.

Na burzę spoglądają z własnego punktu widzenia, i przez całą godzinę słyszałem jak ją poetyzowali i wzywali całą duszą.

Tymczasem niebo pokryło się gęstemi chmurami. Gwiazdy znikły zupełnie. Ciężkie i czarne obłoki krążą po nad nami zakrywając najmniejszy promyk światła. Co chwila, ta masa wyrzuca fale światła na których krzyżują się błyskawice.

Cały ten stos elektryczności rozlanej w górnych warstwach powietrza, wyładował się bez najmniejszego odgłosu.

Powietrze jest zupełnie suche jest więc złym przewodnikiem elektryczności płyn zatem nie będzie mógł się wydobyć inaczej jak tylko za pomocą potężnych uderzeń, zdaje się więc niemożliwem, ażeby burza nie wybuchnęła natychmiast z szaloną gwałtownością. Tegoż samego zdania jest Kurtis jest i bosman, który rządzi się tylko nieomylnym instynktem marynarza — kapitan zaś do tego instynktu dodał jeszcze wiedzę. Ukazał mi zawieszony po nad nami stos obłoków, nazwanych przez meteorologów pierścieniowemi, który powstaje tylko w okolicach zwrotnikowych, ze spędzenia przez wiatry stałe massy pary wodnej, zebranej z całego oceanu.

— Tak, panie Kazallon, rzekł Kurtis, jesteśmy w krainie burz, albowiem wiatr nas aż tutaj zapędził, i obserwator mający bardzo czuły słuch, mógłby tu słyszeć bezustanne toczenie się grzmotu po niebie. Spostrzeżenie to, które ja uważam jako zupełnie sprawiedliwe, zrobiono już oddawna.

— Zdaje mi się, odpowiedziałem wsłuchując się uważnie, że słyszę toczenie się o którem pan mówiłeś.

— Być może że to jest pierwsze mruczenie burzy, która za parę godzin wybuchnie z całą gwałtownością. Cóż robić, trzeba się przygotować na jej przyjęcie.

Nikt z nas nie myślał o spaniu, a nawet nie mógłby usnąć, do tego stopnia powietrze stało się ciężkiem i duszącem.

Błyskawice rozszerzały się, zalewając horyzont na jakie sto pięćdziesiąt stopni i obejmują całe półkule nieba, z atmosfery zaś wywiązuje się jakieś światło fosforyczne.

Nakoniec toczenia się grzmotu wzmocniły się; ale są to jeszcze odgłosy okrągłe, że się tak wyrażę, bez kątowatych wybuchów, huczenie nie ożywione żadnem echem. Zdaje się jak gdyby strop nieba był wypchany obłokami, których sprężystość głuszy odgłos wybuchów elektrycznych.

Morze dotychczas jest spokojne, ciężkie i nieruchome.

Pomimo tego, majtkowie nie mylą się co do znaczenia szerokich wahań, które zaczynają się objawiać.

Według ich wyrażenia, morze gotuje się i gdzieś w oddali huczy burza, której odbicie i my już uczuwamy. Silny wiatr jest już blisko i okręt przez ostrożność stanąłby doń w tej chwili przodem; tratwą jednak manewrować nie podobna, możemy tylko uciekać jeżeli nam się uda. Około pierwszej, jasna błyskawica, a w kilku sekund silne udrzenie zawiadomiły nas że burza jest już obok. Horyzont zakryły tumany mgły wilgotnej, zdawając się spadać na tratwę, kiedy nagle jeden z majtków zawołał:

— Orkan idzie! Orkan idzie!

XXXV.

W nocy z 21 na 22 grudnia. Bosman poskoczył ku sznurom powstrzymującym żagle, i reję natychmiast spuszczono; w sam czas, bo orkan przeleciał jak błyskawica ponad nami. Gdyby majtek nie uprzedził nas swem wołaniem, bylibyśmy z pewnością przewróceni i wrzuceni w morze.

Namiot stojący na tyle tratwy, wiatry porwały w powietrzu. Tratwa jest zupełnie nieubezpieczona od wiatru, zbyt bowiem małą przedstawia płaszczyznę oporu, ale za to bałwany straszliwie jej zagrażają. Fale przez chwilę jakby zduszone pod ciśnieniem warstw powietrza obecnie podniosły się wściekle, i wysokość ich wzrasta w miarę doznanego poprzednio nacisku.

Tratwa posłusznie naśladuje bezładne ruchy bałwanów, kołysząc się, jak one gwałtownie na wszystkie strony.

— Przywiążcie się! przywiążcie się! woła na nas bosman rzucając pęk postronków.

Kurtis przybiegł nam na pomoc. Wkrótce potem Letourneurowie, Falsten i ja byliśmy mocno przywiązani do statku. Morze mogłoby nas unieść, ale najprzód potrzebowałoby rozbić statek. Panna Herbey przywiązała się wpół ciała do jednego ze słupów do których był przybity namiot, przy świetle błyskawicy widziałem jej twarz zawsze pogodną.

Tymczasem pioruny biją bez ustanku zalewając nam uszy i oczy hukiem i światłem.

Piorun nie czeka na ucichnięcie poprzednika, błyskawica, zachodzi jedna na drugą. Para wnosząca się nad morzem zdaje się płynąć. Możnaby sądzić że ocean i niebo ogarnął gwałtowny pożar, i widać było jak błyskawice unoszące się w niebo ze szczytu bałwanów, krzyżowały się z błyskawicami padającemi z obłoków w morze! Silny zapach siarki rozszedł się w powietrzu, dotychczas jednak pioruny mijały nas, uderzając tylko w morze.

Około drugiej, burza doszła do najstraszliwszej potęgi. Wiatr zmienił się na uragan i bałwany zagrażają tratwie rozerwaniem na kawały.

Cieśla Daulas, Kurtis, bosman, majtkowie starają się umocnić ją sznurami.

Całe strumienie padając na nas zlewają potokiem ciepłej wody.

Pan Letourneur rzucił się przed te bałwany, chcąc uchronić syna od ich gwałtownych uderzeń.

Panna Herbey jest ciągle nieruchoma, sądziłbyś że to posąg rezygnacyi.

W tej chwili, przy gwałtownem świetle, ujrzałem jak wielkie chmury, bardzo szeroko rozsiadłe na niebie i zapewne potężnie grube, przybrały kolor czerwony i dziwne trzeszcze nie podobne do strzałów rotowych rozległo się w powietrzu. Było to dziwnego rodzaju trajkotanie spowodowane przez cały szereg wybuchów elektrycznych, dla których ziarnka gradu służą za łączniki pomiędzy przeciwnemi obłokami.

I rzeczywiście w skutek spotkania się prądu zimnego powietrza z chmurą elektryczną, uformował się grad zawzięcie padający.

Zostaliśmy skartaczowani przez grad wielkości orzecha włoskiego, który uderzał z dźwiękiem metalicznym o pokład statku.

Meteor ten trwał przeszło pół godziny i przez ten czas wiatr znacznie ucichł. W krótce jednak przeskakując najprzód ze wszystkich stron kompasu, zerwał się z gwałtownością niedającą się z niczem porównać. Maszt którego bocianie gniazdo burza złamała pochylił się na bok. Śpieszyliśmy się z usunięciem tych złomków lękając się ażeby ciężarem swoim nie skruszyły masztu przy podstawie. Ster zupełnie zepsuty, porwany zaś rudel woda daleko uniosła. Jednocześnie poręcz tratwy została z lewej strony oberwaną, przez ten wyłom bałwany rzuciły się na nas. Cieśla i majtkowie chcieli zreperować uszkodzenie, jednak gwałtowne rzucanie się statku nie pozwoliło im dokonać tego, padając jedni na drugich, kiedy nagle tratwa uniesiona przez olbrzymi bałwan pochyliła się pod kątem więcej niż 45°. Jakim sposobem ci ludzie nie zostali pochwyceni przez fale, dla czego powrozy powstrzymujące nas nie popękły, czemu nie wpadliśmy w morze, doprawdy wytłómaczyć sobie nie mogę. Co do mnie, uważałem za niemożliwe prawie ażeby przy jednym z takich gwałtownych poruszeń tratwa nie miała się przewrócić w skutek czego przywiązani do jej szczątków, odrazu skończylibyśmy w konwulsyach uduszenia. I rzeczywiście około trzeciej rano w chwili kiedy uragan rozszalał do najwyższego stopnia, tratwa uniesiona na grzbiecie bałwanów stanęła prawie prostopadle. Okrzyki przerażenia rozległy się, czy się przewrócimy.... nie...

Sprostowanie. W N. 13 Op. D. dostrzeżono następne omyłki a mianowicie:

Na karcie 112 w szpalcie 1-ej wiersz 4-y od dołu opuszczony: „i niepoznany przez ochmistrzynię (p-i Minasowicz) swej Adeli,*zamierza oddalić się na zawsze,*“ wiersz 2-i „z panią domu“ dodać (*pani Rutkowska*).

W szpalcie 2-ej wiersz 2-i u góry nie „zgodę“ ale *zgodą.*

W wierszu 34 po „komedyjka“ dodać *jednak.*

Дозволено Цензурою. Варшава 24 Марта (5 Апрѣля) 1876 г. W drukarni J. Korzeniewskiego.— Warszawa, St.-Jerska, Nr. 1769*a* (12 nowy)

Wydawca J. Korzeniewski. Redaktor Henryk Perzyński.